WIZERUNKI

I ROZTRZĄSANIA NAUKOWE.

WIZERUNKI

I ROZTRZĄSANIA NAUKOWE.

POCZET NOWY.

TOMIK DWUDZIESTY PIÉRWSZY.

WILNO.

JÓZEF ZAWADZKI WŁASNYM NAKŁADEM.

1838.

Dozwala się drukować, pod tym warunkiem, aby po wydrukowaniu, złożone były w Komitecie Cenzury exemplarze Ustawami przepisane. Wilno 1837 d. 24 Listopada.

Cenzor L. Borowski.

O SZTUCE TŁÓMACZENIA I ROZMAITYCH JÉJ SYSTEMATACH.

Po największéj części tłómaczeniom jednéj rzeczy nie dostaje: życia i duszy, myśli autora ożywiającéj. Zwyczajem jest oddawać same słowa, nie zaś duch pisma, zaniedbywać istotę jego żywotną, genjusz pisarza i narodu, ku przelaniu w nowe ciało, i to ma bydź tłómaczenie? prawda, do któréj odkrycia (lubo i dziś jeszcze nie jest powszechnie uznana i pewna), potrzeba było lat sześciu tysięcy: tak to długiego czasu mniemania najprostsze do ustalenia się swego potrzebują.

Zdaje się, iż nie dawano baczenia na to, że wyrazy nie malują tylko genjusz pisarza, ale i narodów, od których pochodzą: wyrazy, zna-

ki dziwne, noszące na sobie piętna nietylko wieków i narodów, ale narodowości, oraz rozmaitych pokoleń ludzkich, najdobitniéj od siebie odznaczonych. Możnaby z pewnością okazać, że wyrazy nigdy nie są w stanie wydadź wszystkie odcienia myśli: jakoż dość jest porównać moc wzruszeń serca i liczne subtelne cieniowania pojęć ludzkich z zapasami języka, aby się przekonać, że te ostatnie jakkolwiek są wielkie, nigdy nie są zdolne sprostać myśli; lub uczuciu do oddania zamierzonemu. Mowa ludzka, wyrażenie materyalne, znak żywy myśli i obrazów w nas rodzących się, zawsze, mimo całéj swéj piękności i mocy, jest tylko odbiciem obrazu odbitego, cieniem ciała. Zważyć tylko, ile to jest rzeczy ukrytych i nieoznaczonych w tajemniczéj naturze człowieka, jak trudno nam czasami a nawet niepodobna, wydadź to, co się w nas dzieje, a każdy przyzna, że mowa u wszystkich narodów, jest narzędziem niedoskonałém, zmienném, sztucznem, zdolném dadź wyobrażenie niejasne i niedokładne naszych uczuć, cierpień i uciech. Ktokolwiek

doznał żywéj boleści, kto przypatrywał się pilnie społeczności, zgłębiał ją z uwagą, przypomni sobie, że nie jedno pojęcie w odcieniu swojém szczególném, nie jedna myśl subtelna i delikatna, otrzymała wyrażenie w które ją przyodziać chciano, niedokładne, dowolne, przyćmione. Jeżeli zatém to jest pewna, że wyobrażenia ludu żadnego, nie mogą nigdy wziąć na się znaki zupełnie odpowiednie i doskonałe, każdego zaiste najmniéj bacznego, zastanowić powinien wniosek ztąd dający się wyprowadzić.

Przejście od myśli do wyrażenia, już potrzebuje, że tak powiedzieć można, tłómaczenia piérwszego, w którém już cząstka myśli najważniejsza, najsubtelniejsza, zniknąć koniecznie musi. Cóż kiedy przyjdzie do samego tłómaczenia? to jest, kiedy dwa instrumenta równie niedoskonałe, różnie strojne, zechcą się z sobą zgodzić. Jeżeli Homer w mowie swojéj greckiéj, nie wydał tyle, ile sobie był zamierzył, jakże pocznie sobie Ennius tłumacząc Homera na łacińskie? nie większe korzyści z własnéj mowy, jak tamten

ze swojéj zdolny wyciągnąć? Oto musi koniecznie, więcéj się jeszcze oddalić od myśli piérwiastkowéj, która nasamprzód u poety była powstała. Trudności powiększą się w miarę, jak obyczaje jednego ludu bardziéj się różnią od obyczajów drugiego, w miarę jak moc wzruszeń, wyobrażenie i sposób życia ludów, do których oryginał, a tłómaczenie należy, bardziéj się od siebie oddalą. Biédna myśl zatém, która wnet już się była zatarła cokolwiek, stając się materyalną, traci tym sposobem coraz cząstkę złota, przeciskając się przez tyle ujść rozmaitych. Już Rzymianie niedostatecznie pojmują, zaledwie oddadź mogą myśli homeryczne: ale jeszcze ich wiąże z Grekami węzeł wspólnéj cywilizacyi: i oni mają niewolników, pojmują sławę, potęgę, własność sposobem niezupełnie od greckich wyobrażeń różnym. Ale za upadkiem państwa rzymskiego, za wzniesieniem się Byzancyum, jakie stosunki już zachodzić mogą między Homerem a Byzantynami, kiedy wyobrażenia do wyrazów przywiązane całkiem się już zmieniły? Cóż dopiéro za powsta-

niem nowożytnéj społeczności, za pokryciem się Europy pomroką feudalizmu; za przekształceniem się zupełném niewolnictwa, które tyle znaczyło u ludów starożytnych; za rozwinięciem się tylu indywidualności pod osłoną Chrystyanizmu: zaledwo cień Homera pozostał, szkielet, widmo jakieś znikome. Ztémwszystkiém tłómaczą go zewsząd niewiedzieć jak; Pope przybiéra go po angielsku, Cesarotti po włosku, każdy obnaża go z charakteru jego, nikt go bowiem nie rozumie. Czynności i słowa bohatyrów pelazgickich, ulegają przemianóm bez końca, owszem wielu rozmija się całkiem z myślą nawet Homera, ci mianowicie co nie znają zgoła stanu cywilizacyi czasów homerycznych.

Wnet od piérwszego wiérsza Iliady:

Menin aeide Thea, Peleiadeo Achileos,

daje się wykazać sposobem niezbitym, jak znaczenie słów tych poety, różne jest od tego, jakie mu nowożytni nadają. *Menis*, nie jest tylko gniew, ale najwyższe oburzenie, rodzące zemstę, żal ciężki, zabijający; zapalczywość gwałtowna, niezmożona czasu bo-

hatyrskiego, barbarzyńskiego. *Aoidai*, nie są to śpiéwy ludu, a tém bardziéj jeszcze, nie ta pospolita formuła dzisiejszych naszych epopei: *Muzo śpiéwaj!*, są to śpiéwy religijne, poświęcone, pieśni podań dawnych ku odmawianiu w świątyniach, przy odgłosie liry i piszczałki. Achilles *syn Pelejowy*, nie to prawdziwie znaczy, co *Achilles Peliades*. Peliadowie bowiem był to ród bohatyrski; naród, pokolenie synów Peleusza. Cały układ kast starożytnych, w jednym tym wyrazie, albo raczéj w jedném tém zakończeniu wyrazu, przebija jasno: my ludy nowożytne, zlania tego i barwy jednostajnéj familii patryarchalnéj nie mamy; codzień bardziéj zaciérają się ostatnie jéj szczątki, a demokracya wnet je zapewne do reszty pochłonie. Wystawić sobie zatém, co to za zawód dla biédnego tłumacza, który pewny jest znaczenia przywiązanego przez się do słów greckich, jakich tłómaczenie zamierzył. Przekład jego słowo w słowo, jest dlań rękojmią dostateczną wierności najzupełniejszéj z textem oryginału, a przecież ostatni wypadek téj wierności nie-

wolniczéj, jest rozejście się zupełne tłómaczenia jego z tém, co poeta chciał powiedzieć.

Rzecz tak się ma z tłómaczeniem, jak z operacyami chemicznémi, podczas których istota sama przedmiotów poddanych analizie, ulatnia się, pomimo wszelkich usiłowań do jéj uwięzienia. Nie dawno temu, jak wiadomo, przez zbiéranie wyziewów podczas pieczywa chleba wydobywających się, odkryto sposób otrzymywania zeń płynu jakiegoś alkoolicznego. Piekarzowi jednemu londyńskiemu, bądź to szarletanizm, bądź niewiadomość, przyszło do głowy, wywiesić znak na piekarni swojéj taki: *Tu się przedaje chléb niedystyllowany*. Rozumiał biédak, albo chciał przez to dadź zrozumieć, że chléb dystyllowany, jak go nazywał, tracił cząstkę swojéy mocy, że niedopuszczając téj operacyi, konsumentóm swoim dostarczał chleba nieskończenie lepszego od innych. Ale niestety! w sztuce piekarskiéj, tak jak w sztuce tłómaczenia, niepodobna zapobiedz, by to co jest najsubtelniejszego, i że tak rzec można, najistotniejszego, nie uleciało i nie znikło, chyba że to osobno zebrać po-

trafisz; ale aby wcielić to i zamknąć w substancyi, z któréj wynika, o tém ani pomyślcć się nie godzi.

Jeśli autor do tłómaczenia wzięty jest poetą, trudność wzrasta jeszcze bardziéj; narzędzie to słabe i niedostateczne zwane mową, nakłaniane jest ciągle u poety do wyrażenia niezliczonych odcieniów, mogąc im zaledwo wydołać. Wzywa poeta na pomoc rytm albo rym, zgodnobrzmienność lub zgodnogłoskowość; kraje, sieka, rozkłada i składa na nowo mowę dawną, mowę prawdziwą, zmienia na nową mowę, rzuca się na wszystkie strony, muzyka i malarstwo, harmonija i obrazy, wszystko to połączyć się, podadź sobie ręce, ku dokonaniu dzieła, co bądź, to bądź powinno: to czemu metafora okazała się niedostateczną, *onomatopea* może wydała i na odwrot. Tym sposobem nieskończone subtelności mowy, powikłane trudnościami sztuki wiérsza i wykwintnością miar, niepodobne prawie stają się do przeobrażenia. Nie pomnę żadnego tłumaczenia poety, któreby wzoru swego było godne: miejsca niektóre Homera tłómaczenia Cicerona,

poetów greckich, naśladowania Seneki, zupełnie odmienną od oryginału barwę przybrały; Rzymianie nic sami prócz tłómaczeń i naśladowań nie sprawiwszy, nie zdolni byli tłómaczyć z pożądanym skutkiem. Piękność Menandra znikła u Terencyusza; attycyzm Rzymianina, pomimo twierdzenia kommentatorów, nic zgoła nie posiadł tego powabu miękkości potulnéj i miłéj, która oznacza komików greckich.

Grecy znowu chlubni swoją literaturą krajową, nie chcieli nigdy się zniżyć do rzemiosła tłómaczów, i taką powzięli wzgardę do wszystkiego co było płodem obcego genjuszu, że nigdy nie przyszło im na myśl tłómaczyć jakiego pisarza rzymskiego, a tém bardziéj którego z azyatyckich. Herodot i Tucydides nigdzie wzmianki żadnéj o Rzymianach nie czynią; a co równie podziwienia jest godne, to to, że od Dionizyusza z Halikarnassu aż do Libaniusza, nikt z krytyków greckich nie raczył napomknąć nawet o Wirgiliuszu lub Horacyuszu.

Rzymianie poczytywali siebie za barba-

rzyńców, a Grecy tyle cenili synów Romula, ile ci cenili sami siebie. Wszystko co było greckie, zasługiwało u nich nietylko na naśladowanie, ale na przyjęcie ślepe na słowo. Retoryka grecka była dla nich wzorem; na wzór grecki, układali mowy, poemata, dramy, tak jak u nas żaki składają temy i przerabiania, wedle wzorów podanych od nauczyciela. Tłómaczyli też jedynie dla wprawy, nie zaś, jak my dzisiay, dla przyswojenia, mowie narodowéj, myśli języka obcego; Cicero sam był uczniem tylko, rzec można, i za takiego siebie poczytywał. Filozofowie i mówcy, autorowie dramatyczni i poeci, na to tylko pracę łożyli, aby przyswoić sobie, ile możności, formy nauczycielów swoich, tę znajdując w tém korzyść, iż uwalniali tém siebie od ciężkiego nakładu tworzenia. Łupieztwo to literackie, do tyla było u nich wzięte, iż nikt zgoła się nie dziwił, że Eneida wyszła na jaw pełna zdobyczy z epopei greckich, a Melpomena i Talia rzymska, nie była czém inném, jak dokładném, bez mała, *fac-simile*, sztuk Menandra i Sofoklesa.

Co się tycze owych myśli zupełnie nowoczesnych, rozszérzania przestrzeni pojęć rozumu, wszczepienia literatury jednéj w drugą, naturalizowania wyobrażeń i słów społeczności jakiéj, Rzymianie nigdy o tém nie myślili. Względy te były zbyt liberalne i filozoficzne dla nich; piękne zmyślenia Grecyi, widzenia napowietrzne i bohatyrskie Homera i Pindara nigdy w Rzymie praw obywatelstwa nie osięgły; a co nadto podziwienia jest godne, że ani jednego tłómaczenia łacińskiego Iliady i Odyssei nie ma. Ztémwszystkiém język łaciński, pochodził bezpośrzednie od greckiego, związki mytologiczne łączące dwa narody, duch wojowniczy, który je ożywiał, powinny były czynić, w ich oczach, nader cenném dzieło barda lub bardów homerycznych. Grecy i Rzymianie byli synami Marsa, Iliada dla tych i dla owych powinna była zostać epopeją narodową. Ale nie chciano starego śpiéwaka Meonii przyodziewać togą latyńską; wolano raczéj na czas udawać się na mieszkanie do Aten i przybiérać chlubne nazwisko obywatela téj metropolii.

Wielu ludzi znakomitych wprawiało się w sztuce tłómaczenia, tak, jak malarze wielkie wzory przenosić zwykli na nowe płótno; ale prawideł stałych sztuki tłómaczenia, ducha jéj, literatura rzymska nigdy nie wskazała, nie podała żadnego.

Chrystyanizmu piérwszém dziełem, w literaturze, były tłómaczenia wielu dzieł wschodnich, czego dokonywano bez smaku, często bez pojęcia dokładnego, znaczenia i myśli. Czytać *Vulgatę*, żadnego piętna Wschodu tam niéma. Co bądź, to bądź, ludy się pomięszały, pozlewały z sobą: nad niesforną mięszaniną pojęć tylu, unosił się, znakomiciéj jak kiedykolwiek, wielki cień starożytności, tłómaczenie stało się koniecznie potrzebne, niezbędne nawet, ku wzajemnemu zrozumieniu się ludów, a nade wszystko ku zachowaniu skarbów starożytności od zupełnego zapomnienia. Jak tylko narody upodobanie jakieś zaczęły znajdować w pracach umysłowych, wnet przyjęły z wdzięcznością, wszelkie ułamki i szczątki dawne, jakkolwiek tłómaczone, przerąbiane, naśladowane. Pokazało się mnóztwo tłóma-

czeń, ale ladaco. Francya, Anglia, Niemcy, Włochy zasypały się témi naśladowaniami nięciołężnémi, istne nieumiejętnych mnichów roboty. Przestawano wówczas na małém; najdrobniejsze usiłowania poczytywano za wielkie zdobycze. Zajęło się jakieś upodobanie szczególne w starożytnościach, jakiś smak dawnéj cywilizacyi, nad którą się unoszono. Wszakże aż do szesnastego wieku, nie postąpiono co daléj, jak w wieku dwunastym, a wielcy pisarze, *translati in lingua volgare,* tyle podobni byli do swoich oryginałów, jak ladaco wycisk na drzewie z roku 1740, podobny jest do obrazu Raphaël'a. Chapman w Anglii, szkoła Ronsard'a we Francyi, usiłowali podciągnąć systemat tłómaczenia pod pewne prawidła, nadadź mu charakter bardziéj naukowy i poetyczny razem. Odtąd języki europejskie, wydały roje tłómaczeń, po większéj części niewartych. Chapman kazał przemawiać Homerowi językiem starego mnicha, następcy jego przyswoili mu na przemiany, nadętość czasów Dryden'a i wonną strojność królowéj Anny.

Pope zadał cios ostatni śpiéwóm króla epopei, ustroił go w cacka i piękrzydła, przybrał w szychy i wstęgi różnobarwne. Współczesnym Pope'a arcy podobał się ów Homer nowy, Homer odmłodzony, wymuskany, strojny, na którym ślad żaden nie pozostał dawnego i potężnego majestatu.

We Francyi toż samo nastąpiło: dziełem ciężkiéj Pani Dacier, suchego i epigrammatycznego La Motte'a, nadętego i rozwlekłego Bitaubé, wyszedł na jaw u Francuzów Homer fałszywy, maskowany, śmiészny. Każdemu pokazaniu się tych istnych parodyi, towarzyszyły oklaski bez końca. Coraz nowi tłómacze wstępowali w szranki, i zawsze udawało się im wmówić, że poprzednikóm ich, praca się była nie powiodła. X. Delille postrącał ze stolicy, którą byli osiedli, wszystkich tłumaczów *Georgik* Wirgiliusza; z zapałem przyjęto jego przekład. Wirgiliusz ów były zalotnik, Rzymianin ów dworny, fryzowany, przyjaciel ów Augusta, zostawszy abusiem ośmnastego wieku, pociągnął wszystkich za sobą. W tłómaczeniu

Delille'a, co tylko było najpiękniejszego u Wirgiliusza, znikło całkiem: dusza jego prawdziwie rzymska, tęskność surowa i tkliwa. Delille zaleca powaby pól, prace rolnicze, w sposób pochwał parku angielskiego, lub wiejskiego ogrodu, głaszcze upodobania swojego ludu, i tém wygrywa sprawę. Ten sam był los wszystkich tłómaczeń, zaleconych wytwornością, sztuką lub mocą, jako to: Monti, Annibal'a Caro i innych, przyjęte były z oklaskami, to jest, otrzymały tę samę, prawie, wziętość, jakąby były osięgły, gdyby nie były zgoła tłómaczeniami. Ku zapewnieniu im popularności, musiano różnie obracać, zaciérać, albo przynajmniej przetwarzać text oryginalny. Tym sposobem Macpherson, nadał postać zupełnie angielską wieku ośmnastego, bardowi Ossian'owi, którego poezye gaeliczne w swojéj natarczywości i zwięzłości barbarzyńskiéj, aniby nawet zrozumiane bydź mogły. Tym sposobem Letourneur, pisarz zkądinąd nie bez zalet, ale tłómacz niewierny, nadał *Nocóm Young'a*, patent naturalizacyi francuzkiéj.

Możność wykonania tłómaczenia bezmała dokładnego, każe przypuszczać, że cywilizacya czasów tłómacza, z któréj czerpa materyały do stylu i myśli swoich, jest w stosunku prostym z cywilizacyą czasów samego autora. I tak filozofowie czasów Antoninów, daleko są dziś do tłumaczenia łatwiejsi, jak piérwsi poeci i dziejopisowie rzymscy. Naśladować Homera, albo tłómaczyć Bibliją, stało się rzeczą prawie niepodobną. Nie można temu przeczyć, że mowa postępuje za zmianami, którym ludy same ulegają. Wysłowienie obrazowe, metafory śmiałe, zwroty liczne, wyrzutnie częste, wyrazy, rzeczy, nie zaś oderwane wyobrażenia wystawujące, oznaczają piérwsze kroki w sztuce mowy. Wyrażenie, wyrazy, składnia i obrot myśli Homera i Biblii, są w przyrodzonym z sobą stosunku, nie mogącym ujść niczyjej uwagi. Ale między Homerem a nami, między Bibliją, a nami jaka odległość! Wszelkie związki są tu już zerwane, wszelkie powinowactwo ginie. Wieszcz grecki i pisarz święty, wielą jeszcze punktami z sobą się stykają, a témi są:

zwyczaje patryarchalne, nieznajomość zupełna metafizyki, niższość towarzyska płci żeńskiéj, potęga wyobrażeń religijnych. Prawdać, że i tu już odcienia łączące się, przerywa wiele farb mniéj przypadających, ale z postępem cywilizacyi, same analogije nawet nikną, nowe stosunki zachodzą i przedzielają nazawsze języki ludów piérwotnych, od języków ludów, blizkich już swéj zgrzybiałości.

Każdy łatwo zrozumie, że snadniéj jest tłómaczyć Homera językiem Lukrecyusza, aniżeli Petroniusza, że łoskot, krzykliwa nota filozofa Seneki, któréj użył do oddania swych myśli, mniejby się podała, jak mowa surowa Enniusa, na wyrażenia uroczyste i wspaniałe Eschyla. Język francuzki lubo nigdy przydatny nie był do epopei, styl jednak Joinville'a i Froissard'a, godzi się lepiej jak styl d'Alembert'a i Diderot'a z mową panującą w Iliadzie. Autoróm Reformy, należy się tłumaczenie Biblii w wieku szesnastym wierne i mocne; barwy niektóre hebrajskie widocznie się tam zachowały. Jeśliby dziś przyszło kusić się o nowe jéj tłó-

maczenie, nie wiedzieć w coby się obróciła ta prostota wspaniała, ta nagość wielka i górna. Nie żeby tłómaczenie tamto uważać się godziło za doskonałe, ma ono w sobie coś gotyckiego i na poły feudalnego, przypominającego czasy, w których było dokonane, ale szczerość pewna wiary i pewna dzikość obyczajów w niém oddycha i nie czyni go zupełnie niegodném textu. Porównajże tę wersyą z przekładem psalmów króla Dawida, na francuzkie przez Marot'a pazia królowéj, dziwacznym i śmiésznym. Młody paź śpiéwa chwałę Boga na skrzypicy swojéj szesnastego wieku. Arfa hebrajska zamienia się w jego ręku na drumlę; gniew straszny Najwyższego, żądza zemsty, zapał ponury króla żydowskiego, oddane są w sposób tak trywialny, iż zdaje się, że dobry mieszczanin paryzki, takiemiby słowy zrzędził nad synem swoim lub córką, na notę wodewillów czasowych. Ile znowu tłómaczenie przekształcić jest zdolne autora, dosyć przeczytać kilka miejsc Holofernesa przez Dubartas'a: cała prostota Biblii, cudacką barwę przybrała u pisarza

francuzkiego. Jest to parodya niechętna, a gdzie niegdzie profanacya prawdziwie gorsząca.

Jest w Europie jeden język, posiadający składnią tak giętką, taką potęgę nad wyrazami, taką łatwość zbliżania ich do siebie, rozdzielania, wiązania, spajania z sobą, oddalania od właściwego znaczenia, zmieniania przydatkiem lub ujęciem jakiém, że umiejący go użyć, może mu nadadź charakter i piętno upodobane: językiém tym, jest język niemiecki. Właściwa to jemu, że się podaje do wszystkiego, układa i przybiéra kształty wszelakie. Język prawdziwie uczony, poźno aż ustalony, nigdy prawdziwie i zupełnie popularny, bo też język Voss'a, Schlegel'a, Jean Paul'a, nigdy takim bydź nie mógł.

Łatwości téj, zgłębienia przez uczonych niemieckich, w nowszych czasach, ducha języków w ogolności, badaniom ich około rozpoznania życia, obyczajów i wyobrażeń ludów obcych, prace, które do ludu tego estetycznego wyłącznie należeć się zdają, winniśmy niemało tłomaczeń niemieckich, zalet

niepospolitych: albo raczéj nie są to tłómaczenia, ale sam oryginał przelany, oddany w kształtach i barwach nieznanych zupełnie mowie germańskiéj. I tak, kiedy bracia Schlegel'owie tłumaczą poemata sanskryckie, kształt i zwroty okresów, skład wyrazów, wszystko słowem jest sanskryckie u nich. W Homerze Voss'a, słowa poety oddane są wiérsz w wiérsz, i wojownicy *pięknego obuwia*, zachowują cały swój homeryczny przybór. Pomimo téj wierności jednak, zaprzeczyć nie można, że wyniosłość i górność Homera, ociężała cokolwiek i sprościała pod ręką teutońską Voss'a, a Ramaiana u filozofa Schlegel'a, przejęło się i przesiękło zbytnim mistycyzmem. Tłómaczenie Shakspeare'a przez tegoż, jest daleko wyższe od wszystkich znajomych, jest najwierniejsze i najwięcéj mające w sobie życia; niczego też tłumacz nie zaniedbuje, ślad w ślad idzie za poetą, miary jego oddaje miarami, rymy rymami, a lubo niekiedy *concetti* szesnastego wieku wymykają się mu z pod pióra, wszakże namiętność, cierpienie i boleść, surowość

lub smętność osób rozmaitych, nadspodziewanie wszelkie wiernie się u niego odbijają.

Niektórzy z autorów nowoczesnych, doczekali się także tłumaczów: wszyscy oni z żalem powtarzali przysłowie włoskie: *traduttore, traditore!* Goethe, przejrzawszy tłómaczenie *Fausta* przez lorda Levison Gower, napisał do jednego z przyjaciół swoich: «przyznaję, że ten autor *Fausta przerobionego*, ma talent niepospolity.» Byron drżał na wspomnienie, jak jego *Childe Harold* i *don Juan*, dzikiemi zabrzmieli tony, na staréj gęśli tłómaczów niektórych niemieckich. I znowu, jakie zadziwienie objąć go musiało, kiedy poezye te swoje w ręku *sonettierów* włoskich tak okrutnie przekształcone widział, kiedy te dzieci swéj Muzy, ujrzał przybrane w strój niesforny, pokaleczone, twarze ich maskami najdziwaczniejszémi pokryte. Walter Scott, co tyle do tego przywiązywał, aby zachować w mowie oryginalnéj klanów skockich i lowlandów, całą smakowitość szczypiącą a niewinną, postrzegł, z żalem zapewne, jak cały ten wdzięk prostoty zniknął, kiedy tłumacze

niezręczni powzięli myśl przefiltrować, że tak rzec można, tę mowę, nadadź jéj całą płynność naszéj mowy tegoczesnéj, i jak Jenny Deans rozprawia pięknie na wzór poczciwéj Wiédeńki jakiéj, lub Paryżanki dzisiejszéj.

Sztuka tłómaczenia zamieniła się w rzemiosło, stosunki i związki ludów europejskich rozszérzone i pomnożone, rozprzestrzeniły też i znajomość języków u wielu, co nic więcéj nad to, nie umieją i niewiedzą. Jak tylko dzieło jakie znakomite wyjdzie za granicą, rozparają je arkuszami, rozdają na pięciu lub sześciu rzemieślników, robotę swoję lotem pióra dokonywających, w których pośpiech jest jedyną pracy zaletą. Piękna ta robota, nie wiele zaiste mozołu kosztuje, ale o co też chodzi? — o to tylko, aby sens gruby i materyalny, mniéj więcéj, oddadź. Księgarz tę korzyść tu znajduje, że nie wielki położy wydatek, a wyprzedzi swoich współbraci; publiczność zaś nawyka do ladajakiego języka i zupełnie mylnego nabiéra wyobrażenia o pisarzach do tyla przekształconych. Podnieść tłómaczenie do znaczenia sztuki, jest dziś prawie

niepodobna; ludzie zdatni oddają pospolicie tę pracę, prawie mechaniczną, na ręce ludzi miernych; jeśliby zaś kto wziął przed się poświęcić czułą pracę i czas na wytłómaczenie kilku dzieł znakomitych, przyszłoby do tego, że ani czytających, ani wydawcyby nie znalazł.

Tym to obyczajem, tłómaczone zostały na francuzkie i angielskie, dzieła najpiękniejsze Goethe'go. Nie ma co już oczekiwać dobrego tłómaczenia francuzkiego Shakspeare'a, jest już jedno Letourneur'a, które zajęło miejsce znaczące, we wszystkich bibliotekach, wierzą w nie wszyscy, pomimo tego, że w wierności i piękności wiele rzeczy zarzucić mu można, i że nie daje żadnego wyobrażenia przemian częstych, poruszeń giętkich, zmiennych, rozmaitych, znamionujących styl tego wielkiego człowieka. Jedna z największych trudności dla tłumaczów francuzkich Shakspeare'a, jest wiérsz nierymowy oryginału, oddadź wiérszem podobnym, ale harmonijnym miarowym. Próbka i kuszenie się o to, niejakiegoś P. Bruguière de Sorsum, nie powiodła się zgoła; harmonija i wdzięk

niewymówiony oryginału, mierny i niesforny jest w jego tłómaczeniu. Odmienność prozodyi dwóch języków, taką przerwę stawi między niémi, iż najzdolniejsi przebydź jéj nie potrafią. Język francuzki, mało mający akcentu, w ubóztwie swojém, musi szukać ratunku na zgodności rymów. Angielskiego postęp jest inny, ma u siebie wiele jambów i trocheów, a rozdział miar tych różnych, nadaje wiérszóm jego harmoniją rozmaitą, wyraźną. Cóż tu pocznie wiérsz sześciomiarowy francuzki bez rymu, pasmo zgłosek zaledwo spadkiem jakim naznaczonych, niczém się od siebie nieróżniących?

Język francuzki, jest językiem towarzystwa i smaku. Daje się statecznie to postrzegać, że w miarę jak mówiący nim, więcéj się przybliżą do wyższego ukształcenia towarzyskiego, więcéj wdzięku do współobcowania przyniosą, tym więcéj zbywać im zwykło na rytmie i akcencie w wymawianiu. Tragarz, przekupka znaczą i iakcentują dość żywo swą mowę; człowiek towarzystw wyższych nie ma rytmu; wyrazy jego płyną jak woda, jak fala

jedna drugą trącająca w rzece spokojnéj, wolno płynącéj. Nic tam nie uderzy, nie wzbije się nad poziom zwyczajny, żadnego akcentu, żadnego rażenia głosu; zgłoski nie są ani głuche ani brzmiące, ani krótkie ani długie, ale zlane w jedno, i doskonale jednostajne. Słowem, język zyskuje na łagodności, na płynności to, co traci na mocy poetycznéj i muzykalnéj.

Czém człowiek salonowy paryzki jest dla reszty mieszkańców Francyi, tém język francuzki jest właśnie w stosunku innych narodów; jest organem towarzyskości. Przy nim żywość mowy neapolitańskiéj, moc przerywana, drgająca, dzisiejszéj angielskiéj, zagłębienie gardłowe i dzielność męzka hiszpańskiéj, wydają się prostackie i tchną rubasznością jakąś gminną. Nawzajem, inne narody, które przyjęły tę mowę, za mowę dworu, pałacową i toaletową, widzą ją słabą, jednobrzmiącą i mało obrazową. Nie mając rytmu, głucha ustawnie napotykaném *e* niemém i zgłoskami nosowémi, musi uciekać się do wiérszów rymowanych, które przynajmniéj

uwagę jaką do siebie przywięzują, i powrotem swoim raz po raz, całą zaletę wiérsza stanowią, nakształt dzwonka ostrzegającego słuchacza, tętniącego mu ustawnie nad uchem: to są wiérsze, wiérsze! Każdy język europejski, wyjąwszy jeden francuzki, może się obejśdź bez rymu; owszem najpiękniejsze poemata hiszpańskie, włoskie, angielskie, niemieckie, pisane są wiérszem nierymowym czyli tak nazwanym, białym. Wszystkie sztuki dramatyczne angielskie, z wieku szesnastego, także rymu nie mają. Język przeto, którego prozodya zasadza się na rymie, nigdy zdatny nie będzie do tłómaczenia poezyj nie rymowych. Są to dwa systemata przeciwne sobie, nie mogące nigdy jeden drugiemu wystarczyć.

Są znowu języki, nadające poezyóm swoim charakter tak szczególny, oryginalność tak odrębną, że nie można w nich smakować i rozumiéć, za granicą kraju, w którym się urodziły. Zgodnogłoskowość Arabów, wymysły osobliwe Skandynawów, kadencye wiérszowe Hiszpanów, nic w sobie takiego nie posiadają, coby francuzkiemu, a nawet wło-

skiemu w tym rodzaju, odpowiadać, w czémkolwiek, mogło.

Znane są oryentalistóm wiérsze arabskie Hariri, w ojczyznie swojéj wspominane z zaletą, w których nie brak myśli pięknych i dowcipu. Cały wdzięk tych poezyj, nad któréni mieszkańcy Wschodu się unoszą, zależy na ciągłéj zgodnogłoskowości, którąby nam nietylko nieprzyjemna, ale nawet śmiészna się wydała. W tym samym wiérszu, ta sama głoska, powtarza się ośm do dziesiątka razy, na początku, we śrzodku, na końcu wyrazów, słowem jest to rym, że tak rzekę, na wspak wzięty. Arabowie, zapewne, z równąby poniewierką mówili o naszych końcach rymowanych, jak my o ich sposobie, w brew przeciwnym naszemu. W poezyach Hariri, powrot głosek z wielką sztuką jest rozrzucony, a uczeni krajowcy jego, uważają te kompozycye za najcelniejsze w swym rodzaju. Naśladowanie wierne kilku wiérszów podobnych, da zrozumieć, jakiby ta poezya skutek sprawiła na uchu Europejczyka.

Koniu piękny i wierny, szukaj kogo
Coby cię polubił sobie, wiódł na boje,
Zdobyczą zdobił, rzędy drogie wdziewał,
Z rubinu, pereł, skórą tygrysią przykrywał.

W poezyi perskiéj, inne formy również dowolne przyjęte zostały, wzięte z samego języka, tak, iż kto nie zna jego ducha, nie pojmie, jaki był cel poety, i jaką przyjemność znajdować naród może w tego rodzajach pracach.

Inne zagadnienie przedmiotem nie raz się stało żywych utarczek, to jest, czyli lepiéj jest poetę tłómaczyć wiérszem, czy prozą. Jak w tém, tak i w wielu podobnych, dwa są punkta widzenia bardzo różne: jeśli poeta i tłómacz talentem są sobie równi, to zapewne przenosić należy dobre tłómaczenie poety wiérszem, ale z drugiéj strony trudność jaka się stawi przedsiębiercy, tak jest wielka, tak mało pokładamy ufności w wierność tłómaczenia, że wszystko skłaniaćby nas powinno raczéj do prostéj prozy. Dobry prozaik bowiém, chociaż zapomni o rytmie, miarach i rymie, dokłada usiłowania o zachowanie gruntu i

istoty myśli poety; wersyfikator najbieglejszy, powołaniem już swojém naglony, musi krążyć około myśli oryginału, zastępować je innémi równoważącémi, przybiérać w ozdoby sztuczne. Formy wiele znaczą w poezyi; dla niéj gotów naśladowca poświęcić treść myśli i piękność rzeczy. Nie żebyśmy, jak niektórzy krytycy zdają się sądzić, chcieli wierzyć w podobieństwo poematu prozą; mowa najbardziéj mierzona, najświetniejsza, najwięcéj harmonijna, już tém samém nie zasługuje na nazwanie poezyi, że nie jest poddana pod prawidła prozodyi języka. Ossian Macpherson'a jakkolwiek jest nastrojony, metaforyczny i silny, nigdy nie będzie poematem. Harmonija miarowa, muzyka jedném słowem, jest częścią składową, integralną każdego poematu. Dla tego tłómaczenia prozą, przyjmujemy tylko z biédy, nie powiadamy, że są lepsze, ale tylko że mniéj trudno jest w prozie osięgnąć pewien stopień doskonałości względnéj.

Tłómaczenie prozą może jest, poniekąd, podobne bardziéj do ryciny, a tłómaczenie

wiérszem do kopii kolorowanéj. Któżby przeczył, że w tym processie, który nie oddaje kolorytu i przestaje na podobieństwie rysunku, zawsze jest coś niedostatecznego i upośledzającego, pod względem wrażenia. To tylko okazać usiłowaniem naszém było, że metoda druga największym ulega nieprzyzwoitościóm, i że cudu prawie potrzeba, aby tłómacz poety obcego wiérszem osięgnął skutek pożądany.

Wszystkie języki europejskie, usiłują dziś pomięszać się pomiędzy sobą, wypuszczają z siebie, że tak powiedzieć można, promienie, któremi nawzajem przejmują siebie. Nie ma mowy żyjącéj, któraby się oparła odmianóm i działaniu czasu, którab się zachowała w całkowitéj piérwiastkowéj prostocie swojéj i nie poznała wpływu języków obcych na siebie. Wyrazy polityczne i parlamentowe konstytucyi angielskiéj, weszły do użycia dziennego i w skład słowników francuzkich; my znowu pożyczyliśmy u tego kraju wiele wyrażeń symbolicznych wykształcenia towarzyskiego. Język usiłuje kształcić się na wzór

języków germańskich i zostać, jak te, głębokim i żartkim w swéj mocy. Tym to sposobem przekształcają się i przemieniają wszystkie poddziały mowy europejskiéj. Dwa szczepy języków zachodniéj Europy, teutoński i grecki albo łaciński, miasto dawnego między sobą rozdziału, zaczynają nawzajem powinowacić się i łączyć.

Godziłoby się może przewidywać chwilę, w któréj Europa posiędzie język swój europejski, jak to przepowiedział Leibnitz; wówczas położenie tłómaczów znacznie się odmieni i przyjdzie się im ku Wschodowi obrócić. Towarzystwo królewskie w Oxford, już dało poznać Europie do trzydziestu dzieł rozmaitych arabskich, perskich, malajskich i sanskryckich, o których zgoła świat nie wiedział: tém to zlaniem się myśli i pojęć wschodnich i europejskich, dopełni się, zdaniem naszém, ostatnia epoka cywilizacyi rodu ludzkiego. Przyszłości téj zdala przeświecającéj się, nie chcemy przezierać i określać, ale bacząc tylko na postęp pokoleń ludzkich, przypatrując się jak ogromne skarby wiadomości na-

szych wzrastały i szérzyły się w jedno rozmaitych pokoleń świata, jak Grecya objęła dziedzictwo po Indyi, Rzym po Grecyi, jak narody nowożytne korzystały razem ze spadków po wszystkich ludach dawnych: wątpić prawie nie można o skutku, który uwieńczy ten wielki postęp cywilizacyi nowożytnéj.

(*Edinburgh Review.*)

GENERAŁ ARNOLD I MAJOR ANDRÉ (*).

Wojna Stanów Ameryki z Angliją, nie przedstawiła sceny bardziej zajmującéj nad potępienie i śmierć nieszczęśliwego André, majora angielskiéj służby, który przeszedłszy za amerykańskie linije, uknował, za porozumieniem się z jednym z generałów Stanów-Zje-

(*) Wszyscy po większéj części historycy, którzy usiłowali wyjaśnić ten ustęp z wojny Stanów-amerykańskich, nie potrafili zdjąć zeń wszystkich wątpliwości i nie pewnych przypuszczeń. Potrzeba było, iżby nie mało upłynęło czasu, aby historyograf amerykański, oddany tego rodzaju badaniom, *Jared Sparhs*, przetrząsnąwszy archiwa wielu prowincyj

dnoczonych, spisek, przeciw téj rzeczypospolitéj. Oddadź królowi angielskiemu warowną pozycyją, która mogła stanowić o losie całéj kampanii, na tém się zasadzał plan Arnold'a: zdrajca potrafił się ocalić, niewinny zginął. Arnold generał amerykański, umarł spokojnie, wzgardą powszechną okryty; André, który chciał okazać usługę swéj ojczyźnie i pozostał wiernym swym obowiązkóm, skazany na śmierć, zginął na szubienicy.

Benedykt Arnold, potomek jednéj z familii osadników najwięcéj poważanych, zostawił imie przeklęctwem naznaczone w Ame-

---

i odwołując się do wspomnień kilku współczesnych, zdołał wystawić w zupełném świetle wypadki téj charakterystycznéj tragedyi. Oddaje on wszelką sprawiedliwość dziełu w tymże przedmiocie we Francyi ogłoszonemu przez P. Marbois i wyznaje, iż zdolny ten pisarz z wielką trafnością korzystał ze wszystkich faktów, jakie mu były znane. Dodaje wszelako, iż wiele szczegółów szacownych było mu nieznanych, oraz, że papiéry Waszyngtona i odpowiedzi przy indagacyi André i jego spólnika John'a Smith'a, mogły tylko dostarczyć historyi objaśnień, na których jéj dotąd schodziło.

rycc. Wtóry syn Benedykta Arnold'a kupca bogatego z Norwick w Connecticut, już w rannéj młodości wykazywał oznaki charakteru, jaki winien był odróżniać całe jego życie. Krnąbrny, popędliwy, niepohamowany, szukający uciech w wyrządzaniu zła z egoizmem, którego nic zgiąć nie mogło, gdy go nadto, ani nagana, ani pogarda nie straszyły, nie miał on żadnego spółczucia (jak powiadali nie dawno jeszcze przeszli mieszkańcy kraju), ani dla szczęścia, ani dla radości sobie podobnych. Drobiazgowe anegdoty, jakie o nim z upodobaniem zbiérano, od czasu, jak to imie przed tém nieznane, zajaśniało zgubną świetnością, wykazują niegodziwą naturę duszy dziwnéj i niepospolitością rażącéj. Matka jego nie wiedząc co z nim począć, oddała go na naukę do dwóch aptekarzy w towarzystwie swym się przemysłem trudniących, nazwiskiem Lathrop. Uciechą jego było rozrzucać na ulicy do szkoły prowadzącéj kawałki szyb i zbitych flaszek, aby dziatwa tamtędy przechodząc kaleczyła sobie nogi. On zaś stojąc poza przedniémi drzwiami

kramu, ze śmiéchem temu się przypatrywał. Jeżeli już w tym czasie, cierpienia jego współtowarzyszów go bawiły, sam nie znał znużenia, nie szczędził dla siebie przykrych ćwiczeń i niebezpieczeństw najzuchwalszéj śmiałości. Nieraz widziano go, jak zawiesiwszy się na kole młynu wodnego, bystrym jego pędem rzucony, ponurzał się w pieniącéj się wodzie, aby się ukazać na jéj powierzchni oświecanéj promieńmi słońca.

Położenie ograniczone i spokojne, nie mogło bydź dogodném dla człowieka z przyrodzenia duszy porywczéj i zapędnéj. Zbrzydziwszy wszystko, co go otaczało, wzgardzony przez swych współtowarzyszów i starszych od siebie, zaciągnął się do milicyi i opuścił miasto, mając lat szesnaście, nie uwiadomiwszy o tém nikogo. Matka jego była wdową, i czując żywą boleść, z powodu zniknięcia swego syna, błagała księdza kościoła prezbiteryańskiego, do którego należała, aby się wstawił za nią i wyjednał jéj powrót syna. Potrafiono zerwać to jego obowiązanie się, i młody Arnold został do matki od-

prowadzonym. On ją opuścił znowu w rok potém, powrócił do wojska, i jako wojskowy z liczby żołnierzy garnizon składających, kolejno przebywał w *Ticonderoga* i w innych twierdzach pogranicznych; potém znudzony życiem regularném, którego ścisłość zbyt ostro przepisywały prawa, powrócił do Norwick, gdzie PP. Lathrop przyjęli zbiega. Tym czasem matka jego, kobiéta z sercem i wyższego umysłu, przewidziała przeznaczenia Benedykta: ona umarła mocno strapiona témi przeczuciami macierzyńskiéj duszy; szczęśliwa może, iż zeszła ze świata i uwolniła się od widowiska tego zawodu ambicyi, tudzież głośnych czynów bez chwały, zuchwalstwa bez powodzenia i niecnéj niemoralności, którą miała uwieńczyć wieczna sromota.

Zaledwo utracił swą matkę, Arnold w charakterze aptekarza usadowił się w New-Haven i wkrótce wdał się w najśmielsze przedsięwzięcia, jakich jego czynność i zuchwałość niecierpliwie potrzebowały. On kupował okręty, podjął się przewozić towary do Indyj wschodnich, konie, ruchomość, wszę-

dzie obudził przeciwko sobie mnóztwo nieprzyjaciół przez zarozumiałe wynoszenie się i wrodzoną nieprawość; pojedynkował z pewnym Francuzem i zakończył swój zawód handlowy na bankructwie, które na dobrém jego imieniu zostawiło ohydne piętno. Zaledwo o tém bankructwie podano do powszechnéj wiedzy, on znowu wziął się do czynności handlu i odznaczał się, równie jak przed tém, przez swą zuchwałą zapędność, pogardzanie wszelką sprawiedliwością, przez ustawne zatargi z ludźmi, którzy z nim zostawali w stosunkach, i przez swą bezczelną nieprawość.

Arnold posiadał przymioty równoważące jego występne zdrożności, a męztwo dorównywało jego gwałtowności. Pewnego dnia gdy prowadził ku okrętowi, na którym miał wyprawić trzodę wołów, koni i byków, jeden z ostatnich prawie dziki, przestraszony zapewne hukiem wzbiérającego morza, rzucił się w stronę od trzody i począł uciekać wdłuż brzegu. Arnold dosiada konia, pędzi za bykiem, dosięga go, zsiada z konia, chwyta

rozsrożone bydlę za nozdrza, i gwałtem go ciągnie aż do okrętu. Jeżeliby zącność moralna dorównywała męztwu Arnold'a, onby wsławił swą ojczyznę, lecz sama tylko dzika i niepohamowana siła panowała w jego duszy: Arnold był tylko łotrem śmiałym i przebiegłym.

Rewolucyja wybuchnęła i całą Amerykę opanowała. W roku 1775 Arnold jako dowodzący kompaniją żołniérzy przybocznych rządźcy, zebraną w New-Haven, znajdował się na czele pięciudziesiąt ośmiu ludzi. Bitwa pod Laxington dała hasło do wojny długiéj; zaledwo o niéj otrzymano wiadomość w New-Haven, uderzono we wszystkie dzwony i Arnold, którego odwadze i nadziejóm pochlebiał ten wypadek, zgromadził lud na płaszczyźnie służącéj za miejsce przechadzki, obrócił się doń z jedną z tych mów patryotycznych, które są zwykłém narzędziem działania ludzi ambitnych, i stał się naczelnikiem poruszenia rewolucyjnego swéj okolicy. Aby się w broń zaopatrzyć, potrzeba było zagrozić urzędnikóm wyłamaniem wrót magazy-

nów i zabraniem téj broni. Udano się co najprędzéj do Cambridge, punktu śrzodkowego i miejsca zgromadzenia milicyj amerykańskich. Arnold wiedział, iż był plan ułożony przez kilku obywateli z Hartford zachwycenia twierdzy Ticonderoga: wszystkie szczegóły tego planu były mu wiadome. Chwytając myśl, która nie była jego, on stawił się przed komitetem powszechnego bezpieczeństwa prowincyi Massachussets, obszérnie, z zapałem i siłą rozwinął rozporządzenia, wskazał zasoby, które w jego były mocy, śrzodki, jakich użyć zamierzał i pozyskał wkrótce tytuł półkownika z poleceniem zaciągnięcia w prowincyach zachodnich żołnierzy do téj wyprawy potrzebnych. On był powinien zostawić nie wielką załogę w Ticonderoga, jak skoro ta twierdza wzięta będzie; potém przywieśdź do Cambridge wszystkie działa i moździerze, jakich stanie się panem.

Wojsko amerykańskie zostawało w największéj potrzebie téj pomocy. Lecz zapał nowego półkownika, jego ambicya i nadzieje, szczególniejszym sposobem okazały się o-

mylone, skoro się dowiedział, iż je w tém uprzedzono. Górale z Berhshire, niektórzy z mieszkańców Connecticut'u i żołnierze generała Easton, już wyruszyli drogą ku jezioru Champlain, dla zajęcia Ticonderoga. Zuchwała odwaga Arnold'a wszystko przemogła; w towarzystwie tylko jednego służącego i nie mając jeszcze czasu dla zgromadzenia nowozaciężnych, on zdążył do główněj kwatery, ukazał dane mu polecenia i domagał się dowodztwa nad wojskiem. To żądanie będące skutkiem szalbierstwa, polegające jedynie na przywłaszczeniu, nie mogło bydź przyjętém. Arnold korzystając z zebranych przezeń wiadomości i z planu, którego przeniknął tajemnicę, spodziewał się zostać naczelnikiem wyprawy; lecz ta nadzieja wszystkich oburzyła. Górale składający większą część wojska, nadto byli przywiązani do swego dowódzcy Ethan-Allen'a, aby znieść mogli, iż mu odbiérano sławę, część jego władzy: wszyscy żołnierze opiérali się iśdź za swym nowym naczelnikiem. Garnizon poddał się z bronią i bagażami, Arnold

wszedł do twierdzy prawie o jednym czasie z dowódzcą Ethan-Allen'em, jak gdyby przez to chciał okazać swe prawa i pozyskać chwałę wydartą jego obrażonéj próżności. Lecz zaledwie powodzenie uwieńczyło wyprawę, on wznowił swe domagania się; «on był, jak powiadał, oficerem, któremu wszyscy winni bydź posłuszni, sam tylko na mocy prawa mógł wymagać posłuszeństwa.» Uroczystém postanowieniem wielkiéj rady w Massachussets, został potwierdzony w urzędzie dowódzcy Ethan-Allen.

Niespokojność, potrzeba czynności i żądza osiągnienia władzy, stanowiące charakter Arnold'a, nanowo się rozwinęły. Protestował się on przeciw postanowieniu rady, zaniósł formalną skargę do ciała prawodawczego w Massachussets; zebrał około pięciudziesiąt ludzi, mianował dwóch kapitanów, zabrał jeden schoner, uzbroił go, spuścił się jeziorem aż do *Saint-Jean*, zachwycił załogę, wziął w niewolą dwunastu jeńców, spalił pięć statków angielskich, zdobył cztéry inne, skonfiskował wszystko co się znajdowało

w twierdzy i powrócił z témi łupami do Ticonderoga. Spotkał on na drodze półkownika Ethan-Allen'a, który miał myśl przedsięwziąć tęż samę wyprawę, lecz poruszenie jego nie tyle były bystre, tak, iż zdala nawet nie postrzegał twierdzy, którą jego spółzawodnik zajął.

Początek rewolucyi sprzyjał zuchwalstwu i ambicyi Arnold'a. Najodważniejszy i najśmielszy, w takich okolicznościach, nie czeka aż mu oddadzą władzę, on sam ją porywa. Przyszła myśl kapitanowi Arnold'owi, uczynić się admirałem flotylli jeziora Champlain. Ze stem pięciudziesiąt ludzi, mając jeden szonner, szalupę i dwadzieścia do trzydziestu statków, zajął on stanowisko pod *Crown-Point*, mianował kapitanów, uzbroił swe okręty i jak zupełny władzca rozporządzał śrzodkami, jakie pod swą moc zagarnął. Te usiłowania jego na korzyść powszechnego przedsięwzięcia, nie nader były pochlebnie przyjęte przez jego spółziomków. Wszystkich najbardziéj obrażała jego granic nie znająca i dumna zapędność, lekceważenie karności i

bezczelne śrzodki, jakich się chwytał dla osiągnienia władzy. W Stanach-Zjednoczonych zawsze wyżéj ceniono prawość cywilną, nad przewagę wojskową. Liczne skargi podawane do władz cywilnych, wystawiały Arnold'a jak zuchwałego przywłaszczyciela, człowieka nieznającego żadnych ściésnień i względów, poświęcającego dobro publiczne własnemu interesowi, chciwego, bez zasad, którego nic wstrzymać nie mogło. Od tego czasu na wszystkie domagania się Arnold'a dawano tylko odpowiedzi zimne i prawie pogardliwe. Gniew, oburzenie i niechęć, opanowały tę mściwą duszę. Massachussets i Connecticut śpiérające się o zaszczyt strzeżenia zdobytych stanowisk, uchyliwszy wzajemne zajścia, ułożyły się nakoniec polubownie, aby pod rozkazami jednego oficera mianowanego przez Massachussets, zebrać wojska przeznaczone na tę wyprawę i wysłane przez Connecticut. Arnold widział tym sposobem wszystkie swe domagania się odrzucone, wszystkie nadzieje zawiedzione.

Wówczas niezmordowana jego działalność

powzięła myśl innego planu, którego nie zaniechał przełożyć rządowi związkowemu. Oddawna zostawał on w stosunkach z Kanadą, któréj dokładnie znał miejscowe położenie. Pięćset pięćdziesiąt tylko żołnierzy wojska angielskiego, pod dowództwem generała Carleton, było rozrzuconych po rozmaitych stanowiskach. Arnold zostając w związkach z wielą osobami mieszkającémi w Montréal i w Kwebeku, utrzymywał z niémi stosunki: żądał on dwóch tysięcy ludzi dla opanowania Kanady. Nietylko przełożenia jego przyjęto obojętnie, lecz nadto trzem członkóm ciała prawodawczego Massachussets polecono zmusić dowódzcę Arnold'a do zdania sprawy z amunicyi, bagażów, broni, jakie zabrał, i najściśléj rozpatrzyć wszystkie jego czynności i wydatki pieniężne! Tak postanowiono postąpić z człowiekiem, który spodziewał się pokryć pozorem dobra publicznego nieprawe kroki jakich się dopuścił, i przywłaszczenia do których był pochopnym ze swego charakteru; z tym który miał nadzieję przemódz swych spółobywateli i wszystko

zdobydź przemocą! On więc nie szczędził i nie miał żadnych względów dla członków tego komitetu rewizyjnego.

«Któż mnie oskarża? pytał ich; z jakiéj przyczyny roztrząsacie moje postępowanie? Poszukiwania wasze przypuszczają krzywdzące podejrzenia, których nic nie usprawiedliwia. Co do moich zdolności, one są dowodami stwierdzone; czyliż nie uznano mię za godnego tytułu, do jakiego mnie wyniesiono? Wydałem na opędzenie kosztów służby publicznéj summę więcéj jak na tysiąc funtów szterlingów. Przyjąłem na siebie uciążliwe zobowiązania się. Nie ścierpię poniżenia, aby dozwolić oficerowi młódszemu od siebie, zająć moje miejsce. Proszę o uwolnienie.» Zezwolono na to i za powrotem do Cambridge, Arnold otrzymał wypłatę summ, jakie niby przezeń zostały wyłożone: lecz nie jedno haniebne podejrzenie na nim ciążyło.

Wówczas to przezorny genjusz Waszyngtona, zaprobował użyć wojennych talentów Arnold'a. Ten rodzaj heroizmu

puszczającego się na wszystko, gwałtowny i śmiały jaki go odznaczał, nie powinien był zostać nieczynnym. Kiedy generał amerykański Schuyler przedsięwziął zbrojną wycieczkę do Kanady, Arnold na czele tysiąca stu żołnierzy w czynnéj zostających służbie, puścił się w górę rzeką Kennebec, i przebywszy pustynią wschodnią, skiérował się na Kwebek. Wyprawa była niebezpieczną; potrzeba było iśdź w górę bystrego potoku i rozemknąć drogę więcéj jak dla tysiąca ludzi z bronią i bagażami, przez krainę dziką, spustoszoną, bez śrzodków pomocy, przeciętą wielą bystrémi spadami wody. Jeżeli Arnold mało szczędził trudy i życie swych żołnierzy, przynajmniéj nie brakło mu na sprawności, odwadze i przezorności. Dostał on dziennik w rękopiśmie pewnego oficera francuzkiego nazwiskiem Montrésor, który na piętnaście lat przed tém tęż samę przebywał drogę. Brakło żywności w dostatecznych zapasach, nie podobna było posuwać się bez znużenia i największych trudów, wszędzie spotykano nieprzyjaznych Indyan, potrzeba było

iśdź wodą aż po kolana, i nieść ciężkie bagaże. Arnold pisał do Waszyngton'a: «Wziąłbyś nas za źwierzęta ziemnowodne, tyle potrzeba tracić czasu, i łożyć usiłowań, aby się z wodą passować.» Te przeszkody nie oparły się wytrzymałéj czynności Arnold'a. Siedm z liczby jego statków zginęło z całym ładunkiem; lecz on przebył rzekę Św. Wawrzyńca bez względu na fregatę i szalupę angielską tam postawione dla zagrodzenia przejścia, potém wdarłszy się na urwiska *Pointe-Levy*, małe wojsko Arnold'a, ujrzało się na przeciw Kwebeku.

Męztwo, wytrzymałość, przezorność, niezmordowane passowanie się ze wszystkiémi przeszkodami: oto jest co należy słusznie pochwałą wynosić w postępowaniu tego naczelnika, który nim się stał niecnym zdrajcą, był bohatyrem. Jednak połączenie się jego z wojskiem Schuyler'a nie nastąpiło. Świéże wojska z Sorel i New-Founland przybyły do Kwebeku: tysiąc ośmset żołnierzy broniło miasta. Skłonności mieszkańców sprzyjały-li Amerykanom? O tém wątpiono. Arnold

wpadłszy na szczególniejszy sposób, postawił w szyku bojowym swe wojsko przed murami miasta; trzykroć okrzyki żołnierzy ściągnęły uwagę mieszkańców. On się spodziewał, iż załoga otworzywszy bramy miasta dla dokonania wycieczki, zostawi wolne pole obywatelóm, którzy się połączą z oblegającymi; próżne nadzieje. Bramy nie zostały otwarte, a na okrzyki odpowiedziano wystrzałami z dział. Mieszkańcy Kwebeku nie mogli bez przestrachu patrzeć na to szczególniejsze widowisko: oddział wojsk regularnych przybywający z pustyni, zjawisko jakiego nadzwyczajność przesadzała bardziéj jeszcze imaginacya i w którém ich zabobonność zdawała się widzieć jawny znak pomsty bozkiéj.

Lecz przestrach rzucony przez *ludzi żelaznych*, jak ich zwali, nie trwał długo; mieszkańcy Kwebeku wkrótce uspokoili się. Rzeczywiście wszystkie naboje małego wojska były zamoczone, większa część broni nie zdatną do użycia. Potrzeba było cofnąć się ku *Pointe aux Trembles*, i oczekiwać przy-

bycia generała amerykańskiego Montgommery, który się znajdował w *Montréal*. Śmiérć Leonidasa, tak wysławiana przez klassyczną starożytność, nie dowodzi szczytniejszego i zupełniejszego poświęcenia się, nad poświęcenie się generała amerykańskiego. Nie wchodzimy w opisy szczegółowe tego napadu, rzecz tu idzie o życiu i działaniach generała Arnold'a. Kiedy kula ugodziła go w nogę, generał Montgommery zginął pod *Cap Diamant*. Trzechset lub cztérechset Amerykanów wpadło w niewolą, ośmset tylko żołnierzy, licząc w to półk kanadyjski z Liwingstonu, który się połączył z wojskiem amerykańskiém, przeszły pod rozkazy Arnold'a, który mimo ostrość zimy, upornie trwał w zamiarze blokowania miasta. Śnieg gęsty padał nieprzerwanie; oblegającym schodziło na wszystkiém, i jeśliby Kanadczycy żwawiéj powtarzali swe napady, nie byłoby nic łatwiejszego jak zupełnie zniszczyć to małe wojsko.

Arnold chociaż przez swą wyniosłość i przykre obchodzenie się, wzbudzał oburzenie

żołnierzy, okazał jednak niektóre przymioty dowódzcy wojska: moc niezgiętą, śmiałość. Kongress mianował go generałem brygady, i posłał mu nowe wojska opatrzone we wszystko, co tylko było niezbędném dla zawarowania się od ostrości mroźnego klimatu. Wzniesiono wały z lodu i ze zbitego śniegu w kształcie ściany, zlano to wodą, która ściąwszy się od zimna, stała się twardą jak kamień. Zaiste zważając na samę tylko waleczność i sprawność, Arnold dobrze się zasłużył ojczyźnie. Lecz wszędzie gdzie się on znajdował, słusznie się uskarżano na niewielką pewność w jego postępowaniu, na niesumnienność w działaniach i umowach. Dowodząc naczelnie w czasie oblężenia Kwebeku, zmuszony był złożyć swe dowództwo; w Montréal obarcza mieszkańców nieprawnémi potrzebowaniami i generał Gates bynajmniéj go nie uniewinniając, oświadcza tylko, iż człowiek ten przez swą nieustraszoność i biegłość w działaniu, potrafił stać się potrzebnym. Major Brown oskarża publicznie Arnold'a o kradzież i

przeniewierstwo, i Arnold wystawiony na tyle napadów, stawszy się przedmiotem nienawiści swych spółziomków i spółtowarzyszów, nie stara się usprawiedliwić odwołaniem się do publicznego roztrząśnienia jego postępowania. Siła i powodzenie były wszystkiém o co zdawało się, iż się on ubiegał, sława jego i dostatki, zdaniem jego winny się były zwiększyć wśrzód powszechnéj nienawiści. Jego pogarda ludźmi, obojętność na opiniją powszechną, cierpka mizantropija, stawały się bardziéj rażące w miarę tego jak własne jego uchybienia zwiększyły powszechną zawziętość jego spółziomków; lecz naczelnie dowodzący bronił tego człowieka, jak narzędzie potrzebne w wykonaniu, którego znał użyteczność w tak trudnych okolicznościach.

Szło podówczas o wstrzymanie poruszeń wojsk angielskich nad jeziorem Champlain i o uzbrojenie na ten koniec flotylli. Jedna szab[illegible] trzy szonnery i pięć gondol, połączyło się pod Crown-Point, pod naczelnictwem Arnolda. Jedyną instrukcyą, jaką odebrał, by-

ło, aby nie zachodził za wyspę pagórków (*Ville aux Tertres*), trzymając się na stanowisku w wązkiéj ciaśninie, gdzie wody były sparte przed ujściem do jeziora: tam generał powinien był mieć się obronnie i odbijać wszelki napad. Doszedłszy do *Windmill-Point*, on znalazł pomienioną wyspę zajętą przez nieprzyjaciela. Arnold zatrzymuje się u *Windmill-Point*, szykuje swe okręty w liniją w poprzek jeziora, aby zagrodzić przechód dla wojsk nieprzyjacielskich, jakieby zbliżyć się mogły. W kilka dni potém żołnierze przezeń na ląd wysłani, byli napadnięci przez gromadę Indyan, i Arnold czuł potrzebę obrać inne stanowisko, na którém mógłby pilnie strzedz poruszeń nieprzyjaciela, sam nie będąc niespokojnym. Zarzucił więc kotwicę, zrazu o ośm mil niżéj, pod wyspą Lamotte, potém między wyspą *Valcourt* i zachodnim brzegiem jeziora. On otrzymał posiłki; eskadra jego składała się ze trzech szonnerów, dwóch szalup, trzech galer i ośmiu gondol. Lecz wkrótce nieprzyjacielska flota wyruszyła i rozstawione straże oznajmiły, iż

zdala ujrzały jeden trzy-masztowy okręt, dwa szonnery, płyt, dwie gondole, dwadzieścia szalup kanonierskich, cztéry płaskie statki i cztérdzieści cztéry innych z żywnością i wojennémi potrzebami. Na okrętach angielskich znajdowało się siedmset ludzi; taka nierówność co do sił, obiecywała mało powodzenia Amerykanóm, nie mającym za sobą, jak tylko waleczność i dogodność położenia. Potyczka była żwawą i bez względu na swą wyższość Anglicy sypiąc nieustanny ogień od południa do godziny piątéj, zaniechali walki. Arnold pozostał na pokładzie galery *Kongres* mocno uszkodzonéj, która ze strzaskanym masztem, porwanémi linami, zaledwo wlokąc rozbite szczątki, ze wszech stron przeciekała. Nie w lepszym stanie była także galera *Waszyngton*; piérwszy lejtenant na niéj zginął, stérnik i kapitan jéj byli ranieni. Jedna z gondol zniknęła, druga straciła wszystkę swą osadę. W braku kanonierów Arnold sam celował wszystkie działa szonnera; liczba ranionych i zabitych była przerażająca; lecz broniono się zaszczytnie, z największém męz-

twem. Oficerowie zwołani na radę, oświadczyli, iż ostrożność nakazywała cofnąć się ku *Crown-Point*. Przytém jeszcze wypadało zboczyć przed liniją okrętów angielskich zajmującą całą przestrzeń między wyspą i śrzodkiem jeziora. Ciemność nocy i silny wiatr północny, sprzyjały temu śmiałemu poruszeniu i nim na brzask się zabrało, pokaleczona galera Arnold'a, składająca straż tylną pokruszonéj amerykańskiéj flotylli, przeszła całą liniją angielską, puściła się w górę jeziora aż o dwanaście mil wyżéj od miejsca potyczki i stanęła pod wyspą Schuyler.

Okręty angielskie mniéj szkody poniosły. Nazajutrz rano, generał Carleton, rozwinąwszy wszystkie żagle, doścignął galery *Waszyngton*, która po mężnéj obronie musiała się poddadź. Galera *Kongress* na któréj się Arnold znajdował, wytrzymała przez cztéry wciąż godziny, z najwaleczniejszém męztwem, ogień okrętu od ośmnastu dział, szonnera od cztérnastu i trzeciego statku od dwunastu. Był to tylko pokruszony złomek całkiem szczerniały, unoszący się niepewnie

na powierzchni wody bez stéru i przewodnika. Siedm nieprzyjacielskich statków oblegało rozbitą galerę; Arnold nie tracił ducha, przeprowadził swój okręt i cztéry ocalone gondole do niewielkiéj zatoki, osadził je na mialiźnie i zapalił. I kiedy ludzie pod jego rozkazami będący rzucili się do wody, z muszkietem w ręku ciągle niespokojąc nieprzyjaciela swym ogniem, Arnold ostatni na galerze, oczekiwał chwili aż nim ogień wszystko ogarnie, i cofnąć się mu dozwoli. On opuścił nakoniec swe stanowisko i połączył się ze swymi żołnierzami, którzy stanąwszy na brzegu i zatknąwszy na nim chorągiew amerykańską, zdawali się jeszcze wyzywać do boju nieprzyjaciela, co ich okręt zdruzgotał. Mała flotylla była w płomieniach; ogień karabinowy nie przestawał się rozlegać i ten zaszczytny odwrót można było poczytać za zwycięztwo. Od początku aż do końca w téj sprawie, Arnold okazał niezaprzeczone męztwo, i jeżeliby dalsze jego życie odpowiadało tak chlubnym piérwiastkóm, historya policzyłaby odwrót z pod wy-

spy Schuyler w poczet najpiękniejszych działań wojennych.

Atoli wszystko zważywszy była to przegrana: Arnold przebył lasy, wrócił pod *Crown-Point*, z małą liczbą pozostałych żołnierzy, uniknął szczęśliwie licznych zasadzek Indyan, i przybył w tenże sam wieczór do *Ticonderoga*, gdzie zastał resztę swéj floty. Przedsięwzięcie chybiło celu; lecz byłaż to wina Arnold'a? Mogło-li ono, powinno-li było udadź się? Czyliż nie dosyć było tego dla przeświadczenia wojsk angielskich o waleczności i odwadze Amerykanów? dla pokazania im, iż nowa rzeczpospolita nie da się zastraszyć żadném niebezpieczeństwem? Interes narodowy w tém się nie omylił; wziętość Arnold'a wzrosła. Nie zjednawszy dla siebie szacunku, jakiego wady jego charakteru go pozbawiały i przywiązania, jakiém zawsze gardził, wyniósł się on w wojsku do stopnia poważania, na które rzeczywiście zasługiwały jego dzielność puszczająca się na wszystko i mężny opór przeszkodóm losu i przyrodzenia. On się przyłożył do podnie-

sienia nadziei i ożywienia zapału swych spółziomków, i zawód jego od tego czasu byłby świetnym, jeśliby mógł przemódz przesądy powszechnie przeciw niemu panujące, pod względem prawości jego, jako człowieka i bezinteresowności jak żołnierza.

Waszyngton, którego wzniosły umysł pojmował całą wartość ludzi śmiałych i gwałtownych, takich, jakim był Arnold, bronił go od jego nieprzyjaciół; lecz nie mógł usunąć zupełnie śladów wielu jego kroków nierozsądnych, nieprzyzwoitych lub przestępnych, których pamięć zachowała powszechność. W miesiącu Lutym roku 1777 Arnold, który od czasu wyprawy na Kanadę, podług rozkazów Waszyngtona, zostawał w *Rhode-Island*, z boleścią widział, iż kongress pięciu nowych generał-majorów, mniéj od niego liczących lat służby, wyniósł do wyższego stopnia. Przykre uczucie jakiego z tego powodu doznawał, było do nieznieсienia: jak wojownik miał on prawo powstawać przeciw oczywistej niesprawiedliwości; jak człowiek obudził nieufność, poruszył nie-

przyjaźń i nie uniknął podejrzeń najmocniéj honor jego krzywdzących. Nigdzie tak, jak w Stanach-Zjednoczonych oskarżenie o niemoralność nie jest zgubném; sława wojenna nie znosi téj zmazy, którą obyczaje purytańskie potępiają jak trzykroć niesławiącą. On się uskarżał. Głos Arnold'a obrażonego był spokojny; lecz ta spokojność okazywała głębokość nadzwyczajnego zażalenia. Nie pamiętał on jak tylko o swych poświęceniach się, wyrzucał niewdzięcznéj ojczyźnie puszczenie w niepamięć przeszłych jego zasług; stawał się on w oczach własnych Koryolanem Ameryki Północnéj. Waszyngton przewidywał moc takiego rozjątrzenia, skutki, jakie mógł wydadź gniew podobny. Przezorna jego polityka nie chciała dadź się rozwinąć temu zgubnemu nasieniu wśrzód wstrząśnień Ameryki; pisał on do Arnold'a, aby go uspokoić, wstawiał się do kongressu, i otrzymał tylko niczém zbywające odpowiedzi. Arnold prosił o naznaczenie komitetu inkwizycyjnego dla roztrząśnienia jego postępowania, kiedy znowu nastręczyła

się mu sposobność do okazania świetnych czynów, co najprędzéj więc z niéj korzystał. Wojska angielskie pod dowództwem Tryon'a wylądowały w *Campo*, pod *Fairfield*, obróciły w perzynę miasto Banbury, i zniszczyły magazyny tego warownego miejsca. Arnold dowiaduje się o tém, łączy się z generałami Sillyman i Wooster, rusza z nimi naprzeciw Tryon'a, bierze na siebie dowództwo oddziału od pięciuset żołnierzy, wznosi barrykadę na drodze *Rigfield*, i broni jéj, z męztwem prawdziwie bohatyrskiém. Anglicy zajmują otaczające wyżyny, zkąd miotają na swych nieprzyjaciół grad kul. Koń Arnold'a jest zabity, lecz jeździec nie pada, jeszcze trzymając się na siodle na swym martwym koniu, widzi zbliżającego się do siebie żołnierza z bagnetem na przód obróconym; on go oczekuje, kładzie trupem przez wystrzał z pistoletu, i rzuca siodło, aby się połączyć ze swémi wojskami. Dwa inne konie były pod nim zabite w téj sprawie, w któréj on okazał najdziwniejszą krew zimną i najszlachetniejsze męztwo.

Nie podobna było, aby nakoniec kongress nie zwrócił uwagi na tyle dowodów walczności. Arnold został mianowany generał-majorem, lecz porządek co do mianowania tenże sam pozostał; on nie przeszedł aż po pięciu majorach w tym czasie do pomienionego stopnia wyniesionych. Było to zarazem zaszczytem i przyganą, podniesieniem i poniżeniem. Arnold nie czuł się obowiązanym do żadnéj wdzięczności względem tych co go hańbili, zaszczyt mu niby oddając.

Tak gromadziły się w sercu Arnold'a przyczyny i zarody niechęci i nienawiści. Napróżno Waszyngton dla uspokojenia go i odwrócenia wszelkiéj urazy, oddał mu ważne dowództwo nad wojskami stojącémi nad rzeką Północną; nie przyjął go i przybył do Filadelfii jednać o naznaczenie tego komitetu śledczego, o którego wysadzenie usilnie się domagał, a co mu zostało odmówionem: komitet wojenny oświadczył tylko, iż postępowanie generała Arnold'a wydawało się mu bydź zupełnie czystém i wolném od podéjrzeń; lecz to głośne okazanie sprawiedliwo-

ści, ukrywało tajemną nienawiść tém mocniéj obrażającą Arnold'a, iż było dlań niepodobném, ani jéj doścignąć, ani jawnie przeciw niéj powstawać. Głośno się więc uskarżał i na tém zakończył, iż podał kongressowi rachunki swych wydatków przedstawujące zbyt znaczną summę, ze względu któréj stawał się on wierzycielem państwa. Zupełną zostawiano wolność rządzcóm i generałóm nowéj rzeczypospolitéj, i Arnold jak tylu innych ujrzał się, iż jest razem kommissarzem wojennym, generałem i podskarbim. Ta nieregularność zależała od okoliczności, lecz trudno było wytłumaczyć, zkąd powstał taki ogrom summ, o jakie się domagał Arnold, niezwyczajny ogół wydatków, który nie zgadzał się ani z poprzedniémi jego źrzódłami zasobów, ani z położeniem kraju. Gdzie, i jak mógł się ón zdobydź na summy, jakie przezeń niby zostały wyłożone? Nie otrzymał ich zapewne dla swego kredytu, nie mógł téż dowodnie okazać, iż one rzeczywiście zostały użyte. Czyliż chciał przez nikczemną zemstę skarać swój kraj, niecnie go okradając?

Mniemał-li sobie wynagrodzić za niesprawiedliwości, na jakie się uskarżał! Uważał-li to łupieztwo państwa za konieczne i naturalne następstwo tego gwałtownego przesilenia? Nakoniec jego patryotyzm nie był-li, jak tylko osłoną jego bezwstydnéj chciwości? Cóżkolwiek bądź roztrząśnienie podanych przezeń spisów i rachunków, zwiększało nieufność, jaką obudził w swych spółziomkach. Komitet, któremu poruczono tę sprawę, zdawał się bydź mocno zakłopoconym trudnościami, i nie śpieszył się z wyjawieniem swego zdania. Arnold dumniejszy, jak kiedykolwiek bądź, nalegał o otrzymanie wypłaty, a nadewszystko o zajęcie stopnia swego starszeństwa w liczbie nowych majorów. Lecz jego ponawiane nalegania bynajmniéj nie miały skutku i bez wątpienia porzuciłby stopień mu dawany i służbę wojskową, jeśliby Waszyngton nie mianował go do wojska Północnego, które źmierzało na spotkanie generała Bourgoyn'a i jego sił straszliwych. Arnold sposobniejszy może do szlachetności błyskotnie zadziwiającéj, jak do ścisłéj i

należytéj sprawiedliwości, udał się na wezwanie Waszyngton'a, zgodził się działać pod dowództwem Saint-Clair'a, jednego z pięciu majorów nadeń przeniesionych, i oświadczył, iż cierpliwie oczekiwać będzie chwili, kiedy sprawiedliwość narodu okaże mu wynagrodzenie, na jakie zasługiwał.

Pod koniec Lipca Arnold dostał się do twierdzy *Edward* i połączył się z generałem Schuyler. Amerykanie gotowali się spuścić w dół Hudsonem, i podług rad Kościuszki, obrać miejsce dla stanowiska u zatoki niewielkiéj *Moyżesza*. Wojsko składało się ze dwu oddziałów, z których jeden oddany był pod dowództwo Arnold'a. On się niemało przyłożył do szczęśliwego skutku wyprawy przez obrót wojenny, jaki zmusił Anglików do odstąpienia od oblężenia twierdzy *Schuyler*, mężnie bronionéj, lecz blizkiéj poddania się dla braku żywności. Pewien mieszkaniec Cuyler, człowiek dość bogaty i poważany w kraju, był użyty za szpiega przez Anglików: czynności zawsze prawie zgubne, które przedstawiały wówczas

dla ludzi chciwych, nadzieję wielkich i niebezpiecznych zysków. Generał angielski Saint-Léger dociskał oblężonych, i ledwo nie zmusza do poddania się, a siły Arnold'a nie były dostateczne dla wykonania znaczącéj dywersyi. Cuyler szpieg Anglików został schwytany i przyprowadzony przed Arnold'a. Ostatni obiecuje mu przebaczenie, życie i nagrodę, jeśliby dał się znowu pojmać tym co go wysłali, i przesadzoném doniesieniem oszukał nieprzyjaciół Ameryki: Cuyler zgadza się na to. Jeden z dzikich obecny téj rozmowie, podaje plan i szczegóły tego wybiegu z tą bystrością w pomyśle i trafnością w kombinacyach, jakie charakteryzują ludzi jego plemienia. Wszystko się stało jak przewidział. Cuyler rzeczywiście został zatrzymany przez piérwsze czaty angielskie i wybieg ten miał pożądany skutek. Drugi szpieg tuż za nim zmierzający, potwierdził prawdziwość jego doniesienia i géneral Saint Léger nie wątpił, iż posiłki przysłane dla wojsk amerykańskich, gotowały się go oskoczyć. Odstąpił więc pośpiesznie od oblężenia, zosta-

wując za sobą część swych bagażów i namiotów, jakie Arnold zabrał. Generał Gates rad z tego postąpienia Arnold'a, powierzył mu dowództwo ważnego stanowiska koło brodu *Loudon*. Wkrótce wybrzeże *Behmus* stało się miejscem znacznéj potyczki, do któréj same tylko wojska Arnold'a pod jego wodzą należały. Przez dziwną zawiść, któréj Arnold nie mógł przebaczyć, Gates nie chciał mu pozwolić osobiście tam się ukazać. Lecz wojska amerykańskie już się poczęły cofać, kiedy Arnold puściwszy się czwałem, zawołał:

«Ruszam je zwrócić na dobrą drogę i wszystko wkrótce zostanie skończoném!»

Gates wysyła za nim adjutanta, który go nazad przyprowadza. Rozgniewany i nie w siłach dłużéj się miarkować, on głośno wynurza swą niechęć i wkrótce jawne nieporozumienie między nim a generałem zachodzi. Niechęć ta bardziéj się jeszcze wzmaga, kiedy Gates w swym raporcie zaniechał namienić o Arnoldzie i jego wojskach. «I jakże! zawołał ostatni, o wszystkich

oddziałach wojska zaszczytnie wspomniano, a o moich, które rozstrzygnęły los bitwy i najdzielniéj się przyłożyły do otrzymania zwycięztwa zapomniano w waszym rapporcie!» Gates odpowiedział ze zwykłą sobie wyniosłością. Nastąpiło dosyć długie, krzywdzące, pełne uszczypliwych napomknień porozumiewanie się przez listy, z jednéj, dumne i gwałtowne z drugiéj strony i na tém się skończyło, iż Arnold domagał się o danie mu glejtu dla powrócenia do Waszyngtona, na co bez zwłoki zezwolono.

Lecz gotowano się do bitwy. Opuścić wojsko w téj chwili, wydawało się niepodobném dla dowódzcy amerykańskiego. Pozostał więc bez zajęcia się i dowództwa, pełen gniewu, zmuszony ulegać rozkazóm zwierzchnika, szukając wszekich śrzodków, aby się mógł zemścić i zagoić rany zadane jego honorowi jako żołnierza. 7 Październiika znowu wszczyna się bitwa na wyżynach Behmus. Od poranku widziano Arnold'a wsiadającego na koń, przebiegającego miejsce potyczki we wszystkich kierunkach i wielkim

czwałem pędzącego na pole bitwy. Major Armstrong otrzymuje rozkaz, aby go nazad przywołać; lecz Arnold przewidując jego zamiar, spina konia ostrogami, puszcza się w zegzak kilka razy po równinie, wpada na pagórek, zjeżdża zeń, nuży wysłanego za nim w pogoń i nakoniec rzuca się w zgiełk bitwy, wbrew rozkazóm, których nie otrzymał, lecz jakich się domyślał. Tam się on okazał prawdziwie jak szalony i bohatyr. Wszędzie, gdzie miał jakiekolwiek do dania rozkazy, wszędzie, gdzie bitwa wrzała zapalczywie, on przywodził poruszeniom wojsk; nadstarczał własną przezornością, niezdolność i niedoświadczenie generała naczelnie dowodzącego, zastępował miejsce oficerów, wybierał stanowiska najniebezpieczniejsze i potrząsając orężem, zbiérał rozproszonych i znowu prowadził do bitwy żołnierzy. Nigdy może w żadnéj bitwie, oficer nie odegrywał podobnéj roli: bez rozkazu swych naczelników, nie mając poruczonego sobie dowództwa, on na stronę swych wojsk przeważył szalę zwycięztwa. Ojczyzna jego temu za-

pędowi wyłamującemu się z karbów ścisłości wojskowéj, winna była wygraną jednéj z najznaczniejszych bitew kampanii: on to kierował świetnie wykonanym obrótem, jaki zakończył bitwę i pociągnął za sobą zupełną porażkę nieprzyjaciela. On brał szturmem baterye heskie, kiedy kula udo mu przeszyła: odniesiono go z pola bitwy ciężko rannego. Czemuż nie zakończył życia? umarłby jak bohatyr!

Potrzeba było, aby sam Gates oddał sprawiedliwość jego waleczności. Kongress na przedstawienie Waszyngtona, dał mu stopień, o jaki tak długo się dopraszał; Waszyngton przyłączył do mianowania na stopień zaszczytny list od siebie i parę epoletów z Francyi mu przysłanych. Zawód Arnold'a począł najświetniéj się przedstawiać. Kiedy został posłanym do Middletown i New-Haven, mieszkańcy wyszli na spotkanie, i przyjęli go z oznakami żywéj radości, i ze wszelkiemi zaszczyty, jakie się należały dzielnemu wojownikowi.

Skoro tylko wojska angielskie opuściły Fi-

ladelfiją, Waszyngton powierzył dowództwo w tém ważném miejscu Arnold'owi, przesyłając mu rozporządzenia kongressu, zakazujące do pewnego czasu wywóz i przedaż wszelkiego rodzaju towarów. Lecz Arnold wykonywał te rozkazy z tak ścisłą srogością, iż obywatele byli obrażeni. Przyczyną zaś oburzenia się Arnold'a nietylko było to, co on nazywał pogardą jego rządów i swych spółobywateli, lecz nadwerężony stan jego majątku przez zbytek i nierozsądne wydatki. Już to zamyślał on wdać się w spekulacye mniéj lub więcéj niepewne i niebezpieczne, już mówił, iż zamierzał kupić i uzbroić okręt własnym kosztem. Wielce się go lękano, lecz bynajmniéj nie okazywano mu szacunku. Wielka rada Pensylwanii z niechęcią patrzała na samowolną władzę, jaką przywłaszczył i przekroczenia za jéj granice, których stał się winnym. I w tym razie, jak zawsze, zamiast tego iżby łagodził i ochraniał, bardziéj się jeszcze narażał przez swą hardość i pogardę. Oskarżony przed kongressem i pozwany przed sąd wojenny, iż nadużywał dochodów

publicznych, obrócił na własną korzyść własność osób prywatnych i postępował nieprawnie w wielu okolicznościach, widział jak ta sprawa brała kierunek całkiem dlań nieprzyjazny, bez względu na wstawienia się i opiekę Waszyngtona. Obrona jego była trafna i śmiała aż do bezczelności. Dowiedziano się poźniéj ile było matactwa i skrytości w jego postępowaniu. W chwili właśnie kiedy powstawał z największém oburzeniem się przeciw prześladowcóm swéj niewinności, kiedy wyzywał ich dowieśdź zanoszone nań oskarżenia; kiedy głośno dawał poznać swą bezinteressowność i poświęcenie się z poczynionych ofiar ojczyźnie; tajemnie listami znosił się ze stronnictwem angielskiém: gotował się tym sposobem do zdrady, któréj myśl powziął, przewidując tylko jéj cel, nie szczegóły. Niepodobna było zebrać potrzebnych dowodów dla potępienia go co do wszystkich zaskarżeń: przez czas długi badano świadków i roztrząsano dowody.

Bieg processu nie był jeszcze skończony, kiedy warunki służby wojskowéj, po-

wołując pod chorągwie członków sądu wojennego, opoźniły wydanie ostatecznego wyroku. Powolne i nieznośne męki dla Arnold'a, który musiał pozostać w Filadelfii, bez dowództwa, bez tytułu i charakteru, a dopiéro nieszczęśliwy i ponury, tak był znienawidziany przez obywatelów, iż pewnego dnia pospólstwo poczęło nań rzucać kamieńmi. Pisał on do kongressu uskarżając się na tę wyrządzoną mu zniewagę; i znowu nie trafnie poczynając, całą tego winę zwalił na wielką radę Pensylwanii i tym sposobem ściągnął nowe wymówki kongressu.

Uznany nakoniec za winnego co do dwóch zaskarżeń, usprawiedliwiony z dwóch innych, musiał uledz urzędowie mu oświadczonéj naganie naczelnego wodza Waszyngtona, który postąpił w téj okoliczności z umiarkowaniem, bacznością i rostropnością, godnémi jego charakteru. Nic szlachetniejszego, przyzwoitszego, nic bardziéj nie ma stosowniejszego do okoliczności, nad słowa, w jakie przemówił Waszyngton do winowajcy.

«Stan nasz (powiedział doń wódz naczelny) jest najczystszy ze wszystkich: cień najmniejszego uchybienia, kazi najświetniejsze nasze czyny. Tę życzliwość powszechną tak trudną do otrzymania, można utracić przez jeden krok nierozmyślny. Strofuję ciebie, bowiém zapomniałeś, iż umiarkowanie względem spółobywateli, było dla ciebie powinnością odpowiedną waleczności w bitwach okazanéj, waleczności, która cię uczyniła straszliwym dla naszych nieprzyjaciół. Daj nowe dowody tych niepospolitych przymiotów, jakie cię postawiły w rzędzie najznamienitszych naszych generałów. O tyle, ile będzie w mojéj mocy, nie zaniedbam niczego, aby znowu zjednać dla ciebie szacunek, na który zupełnie niegdyś zasługiwałeś.»

Duszę szlachetną poruszyłoby to pełne szlachetności i wyrozumiałe postępowanie Waszyngtona; lecz Arnold już na zawsze obrał dla siebie drogę. Od młodości, głucha na wszystko nienawiść wzmogła się w jego sercu. Amerykanie zbyt wysoko ce-

nili prawość obywatelską i zbyt mało zasługi czynów wojennych, aby on im nie oddawał pogardy za pogardę, nienawiści za nienawiść. Od tego czasu był to pojedynek na życie i śmierć między nim, a jego rodzinnym krajem. Ciągle odwlekano wypłatę summ zaległych, o jaką się domagał. Naglony okolicznościami, udał się on do P. de la Luzerne, posła króla francuzkiego, i usiłował oden otrzymać zasiłki pieniężne, polecając swe usługi mocarzowi zagranicznemu. Poseł francuzki odpowiedział, «iż rzadko poddani jednego państwa, otrzymują pomocy od zagranicznego mocarza, aby się nie stawali albo jego szpiegami, albo niewolnikami, co zawsze jest układem zarówno poniżającym, tak tego, który kupuje, jak tego co się przedaje.» Arnold odstąpił od tego zamiaru, i nie myślał o niczém więcéj, jak aby przejśdź na stronę nieprzyjaciół swéj ojczyzny.

Zpomiędzy familij amerykańskich, których skłonność przywiązywała do dawnego porządku rzeczy, i wiernie duszą oddanych Anglii, szczególniéj znana była rodzina Edwar-

da Shippen, zamieszkałego w Filadelfii. Podczas pobytu wojsk angielskich w tém mieście, on się zaprzyjaźnił z wielą oficerami tego narodu i między innymi z majorem André, młodym człowiekiem najpiękniejszych nadziei. Jego łagodność, przyjemność w postępowaniu, wesołość, najpochlebniéj go zalecały wszystkim co go znali, i młoda córka P. Shippen, najpiękniejsza i najzawołańsza dla swych przymiotów z dziewic Filadelfii w tym czasie, zostawała z nim w listownych związkach, jakie trwały nawet po oddaleniu się wojska angielskiego. Arnold, który się wiązał chętnie ze wszystkiémi co niechęć jego podzielali, zaznajomił się z familiją Shippena. Uderzony pięknością nadobnéj dziewicy, prosił o jéj rękę, i ją otrzymał. Wkrótce dowiedział się on o korrespondencyi z młodym André, i sam do tego się przykładał, albowiem ta korrespondencyja miała dlań służyć za śrzodek porozumiewania się z nieprzyjacielem. Pod kopertą bowiém listów swéj żony i za pośrzednictwem André, wyjawiał Anglikóm zdradę, o jakiéj zamy-

ślał. Jakże się stało, iż młody André sam tylko zginął, przyprawiony o śmierć przez swego przebiegłego przeciwnika; iż zdrajca Arnold uszedł zguby; że wszystkie rozporządzenia Arnold'a, narażające na szwank André, jak najlepiéj się udały? Czytelnik sam wkrótce oceni szczegóły tego dramatu dotąd nie zupełnie dobrze rozumianego.

André nie spotykał za swego życia, jak tylko chwalców jemu się podziwiających i przyjaciół. Urodzony z rodziców osiadłych w Genewie, tamże wychowywany aż do szesnastego roku, był wysłany do Londynu dla zajmowania się pracą w jednym domu handlowym; lecz skłonność do poezyi i sztuk, czyniła dlań to położenie przykrém. Pewna młoda osoba jaką kochał, i która mu się wypłacała wzajemnością, została wydana za bogatego bankiera przez swą familiją, i André w rospaczy, zaciągnął się do wojsk angielskich oddalających się do Ameryki. Wzięty w niewolą w Kanadzie, zostawał kilka miesięcy w rękach nieprzyjaciół i był wymieniony na jeńców amerykańskich. «Oni mię

odarli ze wszystkiego, pisał do jednego ze swych przyjaciół, i nagiego mnie porzucili na brzegu; nie zachowałem nic przy sobie, jak tylko portret Leonory przeze mnie z natury malowany i to nie inaczéj, jak ukrywszy go w gębie mojéj. Dochowałem go i to za szczęście poczytuję.» André był nie złym malarzem i dobrym poetą. Można jeszcze widzieć w Filadelfii jego dziennik w rękopismie, w którym wiele widoków miejscowych położeń, ptaków kolorowanych i przedmiotów historyi naturalnéj, jest wyjaśnionych i opisanych przezeń stylem wytwornym i pełnym ognia. Sir Henryk Clinton potrafił go wynieść na stopień adjutanta sztabu, pomimo jego młodość i na przekorę wszystkim przedstawieniom ministra angielskiego. Clinton uważał w nim nie tak podrzędnego, jako raczéj przyjaciela i poufnego towarzysza.

Powiedzieliśmy, iż pod kopertą listów do André'go pisanych, korrespondencyja Arnold'a utrzymywała się przez ośmnaście miesięcy, nie obudzając najmniejszego podejrze-

nia. Generał angielski naczelnie dowodzący, znając jak mało Arnold miał wpływu i zaufania u swych spółziomków, nie wiele zrazu dawał baczności na przełożenia zdrajcy. Lecz pilniéj o tém myśléć począł, kiedy ostatni mimo sprzeciwianie się Waszyngtona, został mianowany dowódzcą w West-Point, jedném ze stanowisk najważniejszych w téj stronie. Waszyngton mimo całą swą przezorność, dziwił się, iż człowiek tak przedsiębierczy jak Arnold, domagał się o położenie prawie spokojne, mało działań a wiele wymagające czujności.

Zachwycić West-Point, było to stać się panem wszystkich stanowisk odeń zależących, wszystkich załog, zapasów żywności, ich dział, okrętów, licznych statków, jakie Amerykanie posiadali w tych okolicach; było to także stać się panem żeglugi na Hudsonie, przerwać znoszenie się między Stanami amerykańskiémi śrzodkowémi i wschodniémi, ułatwić związki wojska angielskiego z Kanadą, a nade wszystko pozbawić połączone wojska francuzkie i amerykańskie potrzebnych

pomocy, jeżeli jedne i drugie, jak mniemano, zamiérzały uderzyć na New-York i przygotować się do tego przedsięwzięcia, czyniąc West-Point miejscem zgromadzenia się i składem żywności. Po niejakiém wahaniu się Waszyngton z Peekskill nad Hudsonem, mianował Arnold'a na dowództwo jakiego żądał, i Arnold otrzymawszy to mianowanie, pośpieszył czém prędzéj udadź się na wskazane miejsce. Pewnego dnia markiz de Lafayette, który dowodził sześcią batalionów wyborowéj lekkiéj piechoty, ujrzał stawiącego się przed sobą Arnold'a. «Wiém, rzekł do niego ostatni, iż nasi szpiegowie z New-York dostarczają wam potrzebnych wiadomości. Jeżelibyś kazał im przechodzić przez West-Point, droga ich byłaby krótszą i prędszą; powierz mi ich nazwiska i adressa, będę się starał osłaniać ich wycieczki.» Lafayette odpowiedział generałowi amerykańskiemu, iż nazwiska tych osób nigdy się nie powiérzają komukolwiek bądź i z tém go odprawił oświadczeniem. On poźniéj pojął pobudkę jaka skłoniła Arnold'a do tego kro-

ku i korzyść, jaką zeń zdrajca spodziewał się otrzymać.

André, któremu Clinton okazywał największe zaufanie, oddawał mu listy pisane przez Arnold'a pod nazwiskiem Gustawa, listy, na które André odpowiadał pod nazwiskiem Anderson'a. Arnold zrazu się nie odkrywał, chciał, aby go odgadniono. Kiedy Clinton uważał całą tę sprawę za dostatecznie przygotowaną, szukał śrzodków przyprowadzenia jéj do skutku. Arnold żądał osobiście się porozumiéć z oficerem najsposobniejszym do tego, któremuby mógł zupełnie zaufać i wskazywał André'go. Czas naglił; Arnold, który w swych listach używał sposobu wyrażania się handlowego, w celu ukrycia swych zamiarów, twierdził, iż nie chce nic przedsiębrać nie umówiwszy się przede wszystkiém *co do procentów od kapitału.* Chciał on, aby major André przybył widzieć się z nim w jego własnym obozie, i obiecywał go bez żadnego niebezpieczeństwa tam przeprowadzić, jako tajnego agenta użytecznego dla sprawy amerykańskiéj. Co za po-

budka mogła mu podadź myśl propozycyi tak niebezpiecznéj dla André'go? Inni o tém powiedzą; dla nas dosyć jest przywodzić same tylko fakta. Cóżkolwiek bądź, André nie zgodził się na to.

Probowano doprowadzić do skutku piérwsze widzenie się; lecz ogień angielskich szalup kanonijerskich zniweczył wszystkie poczynione przygotowania. Przemyśliwano o śrzodkach przywiedzenia do skutku drugiego widzenia się, kiedy się dowiedziano, iż generał Waszyngton, objeżdżając liniją, miał przepłynąć przez Hudson na statku Arnold'a. Wypadało jeszcze raz odłożyć. *Sęp* okręt angielski stojący w niedalekiéj odległości na Hudsonie, w zamiarze korzystania ze skutków zdrady, ściągnął uwagę Waszyngtona. Wódz naczelny skierował swą perspektywę na ten punkt, długo miał wzrok nań utkwiony i coś bardzo cicho mówił do osób go otaczających. Widziano jak Arnold zbladł nagle. «Prawdziwie, zawołał Lafayette, blizko Waszyngtona stojący, generał Arnold, który z nieprzyjacielem przez

listy się porozumiéwa, powiniénby nam powiedzieć, co się stało z hrabią Guiche i jego eskadrą.» Był to żart przez generała Lafayett'a na traf rzucony: Arnold zmieszał się na chwilę. «Co przez to chciałeś Pan powiedzieć? zawołał dobitnie. Potém przyszedł do siebie, słuchał objaśnienia Lafayett'a, i zdawał się bydź spokojnym. Mniemał on przez chwilę, iż jego knowania zostały odkryte.

Główna kwatéra Arnold'a była w domu półkownika Beverly Robinson'a, który przedstawiał wszystkie dogodności dla wykonania zamachu: Beverly, przywiązany do sprawy angielskiéj, i którego majętności były na skarb zabrane, najgoręcéj pragnął, aby się pomyślnie spisek zakończył; wypadało jemu się zwierzyć, i pod jego kopertą i nazwiskiem, zaprowadzono nową korrespondencyą. Zdawało się, iż on prosił generała o pozwolenie zajęcia swego domu, który dla sztabu głównego był oddany; lecz każdy wyraz jego listów, zawiérał w sobie tajemne znaczenie, które nie mogło narażać na niebezpieczeństwo ani Arnold'a, ani Robin-

son'a, i którego nikt nie pojmował. W jednéj ze swych odpowiedzi Robinson'owi, będącemu wtenczas na okręcie *Sęp*, generał Arnold wskazał miejsce i dzień dla widzenia się z André'm. Ostatni postępując stosownie do przestróg Arnold'a, przygotował się do swéj zgubnéj podróży; Clinton zalecał mu trzy rzeczy: nie przebiérać się w inną odzież, nie przechodzić za linije amerykańskie i nie brać od Arnold'a żadnego rodzaju papiérów. I rzeczywiście te ostrożności były najistotniejsze: lecz André do nich się nie stosował. Aby przyprowadzić André'go na miejsce wskazane, potrzeba było wiernego człowieka; pewien Smith podjął się tego. Umówiono się, iż on wsiądzie na łodź, zbliży się do okrętu *Sęp*, dla zabrania André'go i zaprowadzi go na miejsce puste na brzegu. Po wielu przypadkach i zwłokach, jakich przyczyną, po większéj części, były niedowierzanie Arnold'a i ważne trudności położenia, statki straży amerykańskiéj otrzymały nakoniec rozkaz, puścić swobodnie Smith'a i jego wioslarzy.

Wszystko zostawało w spokojności; noc była cicha, gwiazdy jaskrawo świeciły się na niebie; woda lekko poruszana niósła łódź szybko pędzącą w naygłębszém milczeniu; nic nie wstrzymywało ani opoźniało jéj biegu aż do chwili, kiedy ona przodem swym dotknęła boku okrętu *Sęp*. Głos ochrzypły obwołał nowych przybyszów, nie szczędząc dosadnych epitetów, z języka morskiego, na tych nędzników Amerykanów, którzy nie lękali się w taki sposób zbliżyć się do okrętu królewskiego. Na pokładzie nikt oprócz Robinson'a i André'go nie wiedział o przeznaczeniu téj łodzi; przyprowadzono Smith'a przed kapitana, który odebrał odeń list przez Arnold'a pisany, jak zawsze, najostrożniéj. Anglicy spodziewali się, iż podług swéj obietnicy, Arnold przybędzie na pokład *Sępa*, porozumieć się ze swymi spólnikami; lecz ostrożny i przebiegły Arnold, przysłał zamiast siebie Smith'a, który winien był przyprowadzić Robinson'a, lub przynajmniéj mniemał, że jego z sobą zabiérze. Powiedziano Smith'owi, iż Robinson był chory, i

wskazano mu, jak tego, który zamiast jego miał z nim się udadź, Andrégo, a ten przebrany w długi surdut, winien się był puścić na trudy i niebezpieczeństwa tego poselstwa. Obaj razem wsiedli na łodź, nikt ich nie zatrzymał na drodze, i w milczeniu dopłynęli pod Longelove, dokąd Arnold konno przyjechał. Zaledwo na brzeg wyszli, Smith zniknął w krzakach, i znalazł tam Arnold'a w głębokiéj ciemności, skrytego w drzew gęstwinie. Po czém Smith wróciwszy do Andrégo zaprowadził go do miejsca, gdzie się Arnold znajdował i zostawił ich samych na osobności.

Wioslarze spali. Smith w oburzeniu na nieufność, jaką względem niego okazywano, klął Arnold'a i jego tajemne zamiary, których nie znał. Tymczasem upływały godziny, widzenie się trwało ciągle; Smith znowu przedzierając się w zarośle, ostrzega obu porozumiewających się, iż już czas się oddalić; lecz jeszcze się nie zgodzono co do głównych punktów umowy. Arnold przedłużając rozmowę przywiódł tyle trudności i wybiegów

na przełożenia André'go, iż nie można było do ugody przystąpić. Tymczasem na brzask się zabiéra; André jest zmuszony ukryć się w domu Smith'a; tam umawiający się siadają za stół, jedzą śniadanie, znowu rzecz roztrząsają. Arnold żądał znacznéj summy i André przystał na nię: Clinton chciał zawrzeć umowę, chociażby to najwięcéj kosztować miało. Plan działania Arnold'a był zręcznie uknowany i wiarołomnie zdradziecki: szło o to, aby rozrzucić siły amerykańskie w rozmaitych i oddalonych kierunkach, zostawić zupełnie otwarte i swobodne bez żadnéj obrony drogi prowadzące do West-Point, i tym sposobem otworzyć przejście dla Clinton'a. Nakoniec, aby wykonanie tego uczynić łatwiejszém, André podjął się wziąć z sobą noty, karty i instrukcye, jakie mu oddał spólnik spisku, które on schował w pończochach pod podeszwą nóg, i obowiązał się zniszczyć w przypadku przytrzymania. Ubiór wojskowy, znajdujący się pod jego długim surdutem, mógł zwiększyć niebezpieczeństwo. Smith, który miał André'go za prostego oby-

watela, zdziwił się ujrzawszy tak niebezpieczne przedzierzgnienie się; Arnold mu odpowiedział, iż próżność młodego człowieka była tego przyczyną, i że dla dania sobie pozoru większego znaczenia, pożyczył sobie ubioru oficera: Smith dał mu jednę ze swoich sukień.

Napróżno André nastawał, aby go na łodzi przewieziono na okręt *Sęp*; Smith nie zgadzał się na to. Arnold utrzymywał, iż temu się sprzeciwiały nieprzezwyciężone przeszkody. Tym sposobem przygotował on na wszelki traf dwojaki wypadek: iż mógł bydź pewnym skutku swego przedsięwzięcia i narazić André'go na śmierć. Tyle przewidzeń i głębokości wydało pożądany owoc. André popełnił dwa niedarowane błędy, od których Clinton starał się go zawarować: iż się przebrał i wziął z sobą papiéry o zamachu przekonywające. Wyruszyli nakoniec w drogę; Smith znany w całéj okolicy, którego żartobliwy i wesoły charakter wszystkim się podobał, spotyka się z wielą mieszkańcami miejsc poblizkich, śmiészy ich swémi dowci-

pnémi żartami, zatrzymuje się na chwilę u jednego siodlarza, miesza się tam do wesołéj zabawy kilku kupców oblegających wazę pończu. Nic nie bawi młodego André: smutne przeczucie zupełnie nad nim przemaga. Zatrzymywani kilka razy na drodze przez czaty i pomknięte straże Amerykanów, obaj winni są swe ocalenie przytomności umysłu Smith'a i paszportóm podług wszelkiéj formy danym przez Arnold'a; lecz André ciągle niemym zostaje. Wszystkie pytania z jakiémi się doń obraca jego przewodnik, zostają bez odpowiedzi. Podjazd kapitana amerykańskiego Bryd, zmusza ich zatrzymać się: oni są przyprowadzeni przed tego oficera, który ich trzyma dosyć długo, zapytuje, ostrzega ich, iż *hajdamacy krowiarze* (łotry angielskie), przebiegają miejsca prowadzące na *Równiny biale*, i radzi im noc przepędzić w domu pewnego Miller'a, którego gościnność da im spokojne schronienie: oni nocują pod skromnym dachem Miller'a; André ani na chwilę nie może zamknąć oczu. O świcie wstają, w dalszą puszczając się drogę; zale-

dwo przeszli za linije amerykańskie, twarz André'go wyjaśnia się, czoło jego smutkiem zasępione rozwesela się. Znowu on staje się poetą i artystą, rozmawia, opowiada, czyni swe postrzeżenia i zwraca uwagę swego towarzysza na piękności miejscowych położeń. Takie jest ruchliwe usposobienie człowieka z imaginacyą; życie jego jest dramatem, a uważania i czucia jego podwójną mają czynność. Nieopodal od mostu sosnowego (*pont du Pin*), Smith żegna się z André'm, dzieli się z nim biletem bankowym własnością jego będącym, opuszcza go, i powróciwszy do swéj rodziny, którą zostawił w Peekskill, zdaje nakoniec sprawę generałowi Arnold'owi ze swéj podróży.

Część kraju neutralnego prowadząca na *Równiny białe*, pustoszyły gromady łotrów i rabusiów, powstałe w czasie wojny domowéj. Te przybiérały pozór, iż należały do dwóch stronnictw. Jedni pod nazwiskiem *krowiarzy angielskich*, drudzy pod nazwą *łupieżców* amerykańskich, nie dbając jak tylko o grabież, łącząc się niekiedy z sobą dla pe-

wniejszego zysku, zwodząc z sobą kłamane walki, aby lepiéj odegrywać swą rolę, pustoszyli okolice. Arnold, któremu znane były te okoliczności, ujrzał się u zbiegu dwóch dróg, z których każda prowadziła na *Równiny białe*. Prawa była w wyłączném władaniu mniemanych *krowiarzy* angielskich, a ztąd wydała mu się pewniejszą. I to go właśnie zgubiło. Bowiém zrana tegoż samego dnia, siedmiu Amerykanów dzierżawców, kupców i mieszczan, postanowiło stanąć strażą w okolicach téj drogi, któréj *krowiarze* stali się panami, i chwytać wszelkie podejrzane osoby tamtędy przechodzące. Czterech z tych strażników z własnéj ochoty, obrało stanowisko na wierzchołku pagórka, zkąd naokoło można było widzieć obszérny przestwór. André spokojnie na przód się posuwał i cieszył się w myśli, iż szczęśliwie tyle pokonał przeszkód. Pod jego starym i wytartym granatowym surdutem, błyszczała czérwona suknia dzierżawcy dostatniego, jaką mu Smith pożyczył; suknia spięta w stanie, któréj naszéwki koło guzików złotem, połyskiwały się na

słońcu. Kapelusz okrągły i śpiczasty z szérokiémi brzegami i spodnie nankinowe, dopełniały jego ubióru.

«Paulding! zawołał jeden ze strzegących, owoż jakiś się szlachcic zbliża, jeżeli go nie poznajesz, zatrzymajmy go!»

Paulding dzierżawca pod lat cztérdzieści mający, człowiek chciwy i stanowczo działający, natychmiast zachodzi drogę, bierze za cugle konia André'go, przykłada muszkiet do piersi podróżnika, i pyta go: Dokąd zmierzasz?

— Panowie, zawołał śmiało André, biorąc ich za *krowiarzy* angielskich, z jednego jesteśmy stronnictwa.

— Jakiego stronnictwa?

— Nie innego jak krowiarzy.

— Niewątpliwie.

— Jestem oficer angielski, i mam polecenie zwłoki niecierpiące.»

On wydobył swój zegarek, czyli dla pokazania, że czas upływał, bądź też, aby kształt angielski téj kosztownéj rzeczy, uczynił słowa jego podobniejszémi do prawdy.

«Zsiadaj z konia! wrzasnął Paulding.

— Doprawdy, Panowie, oddałbym wszystko w świecie, abym tylko mógł daléj odbywać swą drogę.

— Jak się nazywasz?

— Jan Anderson.

— Czy masz paszport?

— Nie inaczéj, generała Arnold'a.»

Wyraz ten niebacznie wyrzeczony o wszystkiém postanowił. Nie rozmyślił się, iż mieniąc siebie oficerem angielskim, podawał w największe podejrzenie paszport generała Arnold'a. Zaciągniono go w zarośle na boku drogi będące i przymuszono go rozebrać się. Najpilniejsze przetrząsania nic nie okazały, kiedy jeden z mniemanych krowiarzy domyślił się zasunąć palec pod podeszwę nogi André'go, posłyszano szelest papierów; wydobyto je, roztrząśniono i otrzymano oczywisty dowód zamachu, do wykonania którego André się przykładał. Zaprowadzono go do najbliższego stanowiska wojskowego w Northcastle, dawał tym co go pojmali znaczny okup, lecz go przyjąć upornie się wzbraniali.

Było to 23 Września 1780 roku. W tenże sam dzień ukazał się, na widok powszechny, dziennik angielski wydawany w New-York przez pewnego Rivington'a pod nazwiskiem *Gazeta Królewska*. W tym numerze pomieszczone było poema komiczne, dzieło młodego André, w którém pod napisem: *Polowanie na krowy*, on szydził z nieprzyjaciela. Ostatnia strofa tego dziwnego utworu, zdawała się przepowiadać los poety. «Zaiste (powiadał on kończąc swe popisy w rodzaju bohatyrskim), drżę o siebie chełpiąc się i wynosząc się! Jeżeli ten wojownik — przewodźca byków, Waynes, w swoję koléj mnie doścignie!» André był doścignięty w tenże sam dzień nawet, kiedy te rymy były ogłoszone. Traf dozwala sobie wolności, jakichby się uląkł najśmielszy romansopisarz.

Podpółkownik znajdujący się na stanowisku w Northcastle, zwał się Jameson; człowiek pojęcia tak słabego, i tak nie dokładnie ogarniający rzeczy, iż major André widział nadzieję zbawienia, jakiéj nie powinien był się spodziewać. Człowiek ten znalazł w pa-

pierach, zabranych u André'go, wszystko, co przekonywało o zdradzie z namysłem uknutéj: karty, plany, szczegółowe opisy, objaśnienia pisane ręką Arnold'a. Nie przyszło mu jednak na myśl poznać, iż to była zdrada: zdawało się, że rad słuchał, i ledwo nie ... ył powiastkóm opowiadanym przez André'go, jakie ten wymyślił w zamiarze ocalenia siebie, i przesyłając zabrane papiéry do Waszyngtona, postanowił odesłać André'go do głównéj kwatéry, to jest, połączyć go z jego spólnikiem. Lecz pod rozkazami Jameson'a znajdował się major Tallmadge, który na ośm dni przedtém, otrzymał od Arnold'a wyraźny rozkaz przyprowadzić do głównéj kwatéry każdego, ktoby przytrzymany przezeń zwał się Andersonem. Ta okoliczność i odczytanie papiérów, nie zostawiały najmniejszéj wątpliwości o zamachu; nausilniéj więc nastawał, aby Jameson zmienił swe postanowienie. Po długich sporach i wahaniu się, zgodzono się nakoniec, aby jeńca przenieść do *Bas-Salem*, miasteczka, gdzie P. Brenson dał mu u siebie pomieszczenie.

Tam więzień, widząc los swój postanowiony, napisał do W a s z y n g t o n a list następny:

«*Dawane dotąd przeze mnie wiadomości, pochodziły naturalnie z chęci uwolnienia siebie od najcięższych kłopotów. Nie nawykły jestem do zmyślania, i dla tego to mi się nie powodzi. Niech JW. Pan będzie przekonany, iż udając się wprost do niego nie czynię kwoli, ani obawie o życie, ani słabości niegodnéj żołnierza. Nie chcę, aby mi przypisywano, żem grał nikczemną rolę, dla własnego interesu. Jedynie tylko przemawiam dla ochronienia méj sławy, nie zaś dla zapewnienia mego życia. Osoba będąca w rękach waszych jest major Jan A n d r é, generalny adjutant w wojsku angielskiém. W czasie wojny otrzymać potrzebne wiadomości i dostąpić wpływu w wojsku nieprzyjaciela, jest korzyścią jakiéj zwyczaj dozwala. Dla przyłożenia się w dokonaniu przedsięwzięcia tego rodzaju, zgodziłem się między stanowiskami obu wojsk, widzieć się z pewną osobą, która mi winna była dadź żądane objaśnienia. Na ten koniec opuściłem okręt*

Sęp, *i na łodzi przybiłem do brzegu. Skorom wysiadł na ląd, powiedziano mi, iż już zapożno było i noc prędko znikała, abym mógł tą samą powrócić drogą, a ztąd, że trzeba było pozostać: byłem w mundurze, i na niebezpieczeństwo wystawiałem me życie. Wbrew moim chęciom i zobowiązaniom się znalazłem się w waszych linijach. JW. Pan łatwo sobie wyobrazi czegom doświadczał, gdy mi odmówiono wrócić na tejże łodzi, na któréj przybyłem. Zostawszy jeńcem mimo méj woli, postanowiłem ratować się ucieczką, zrzuciłem mundur, potrafiłem dostać się za linije amerykańskie, i dosiągłem nakoniec części kraju neutralnéj. Tam mnie zatrzymało kilku ochotników. Nic nie mam więcéj do wyjawienia; przysięgam na honor, jak żołnierz i szlachcic, iż wszystko co się w tym liście zawiéra jest prawdą. Jakakolwiek bądź jest srogość, któréj się polityka trzymać nakazuje, ośmiélam się upraszać JW. Pana (a wiém do kogo się udaję), aby téj srogości towarzyszyły przyzwoitość i pewne względy, iżby nie dadź powodu do mniemania, że życie*

me było zhańbione, lub postępowanie moje czci uwłaczające. Upraszam także Was o pozwolenie napisania listu otwartego do generała Henryka Clinton'a i drugiego do pewnéj osoby dla otrzymania odzieży i bielizny.

Niech mi wolno będzie przywieśdź na pamięć JW. Panu, wielu Amerykanów charlestońskich, teraz zostających w niewoli, których zamach był odkryty. Chociaż ich położenie nie jest zupełnie podobne do mojego, możnaby jednak ich za mnie wymienić, a postępowanie ze mną w każdym razie, może mieć wpływ na ich losy. Udaję się z tym listem do Was Panie, nie tylko z przyczyny wyższego położenia jakie zajmujesz, lecz nadto przez zaufanie, do którego mnie pobudza zacność i szlachetność Waszego charakteru,» i t. d.

Od piérwszych chwil pojmania, zaraz postrzeżono chód André'go, jego krok wymierzony, postawę wojenną, przywyknienie okręcania się na obsasie obuwia, lecz bynajmniej się nie domyślano jak wielkiéj wagi zdobycz

uczyniono. List otwarty przez młodego jeńca oddany majorowi Tallmadge, do Waszyngtona, o tyle wszystkich zdziwił, ile najmocniéj poruszył.

Tymczasem Arnold zupełnie spokojny w swojéj głównéj kwaterze, miał przyjąć na śniadanie 24 zrana, Waszyngtona, Lafayett'a i sztab główny amerykański. Piękna i zawsze powabna, Pani Arnold zachowała czarujące wdzięki piérwszych lat swéj młodości. Była już godzina dziesiąta. Wódz naczelny obejrzał część brzegu Hudsonu, kiedy zamiast tego, iżby udał się drogą prowadzącą do Arnold'a, skierował konia i puścił się małą ścieżką zupełnie w przeciwnym kierunku.

«Generale, wołał nań Lafayette, mylisz się co do drogi; Pani Arnold nas czeka na śniadanie; ta droga daleko nas oddali.

— Oh! odpowiedział Waszyngton uśmiéchając się, wiém, iż wy młodzi ludzie wszyscy jesteście zakochani w Pani Arnold, iż nigdy dla was nie ma, ani zawcześnie, ani nigdy dosyć długo, skoro jesteście przy niéj.

Możecie się udadź, jeśli chcecie, na śniadanie, i jéj powiedzieć, aby na mnie nie czekano. Muszę jeszcze obejrzeć kilka redut, po czém natychmiast przybywam do was.»

Nikt nie korzystał z tego pozwolenia oprócz dwóch adjutantów, którzy się oddalili, dla uwiadomienia o przyczynie spoźnienia się, Arnold'a i jego żonę. Oni razem siedli do stołu z adjutantami. W czasie śniadania oddano list generałowi: on go odpieczętowawszy, czyta, blednieje, zmienia się na twarzy, wstaje od stołu, głośno oświadcza, iż jego przytomność potrzebną jest w West-Point, iż musi odjechać. Każe osiodłać konia, wchodzi do swego gabinetu, przywołuje tam swą żonę, i mówi do niéj:

«Opuszczam cię może nazawsze; życie moje zależy od obecnéj chwili. Jeżeli nie dosięgnę linij nieprzyjacielskich, jestem zgubiony!»

Ona pada zemdlona; Arnold wychodzi, dosiada konia, puszcza go czwałem aż do brzegu, odwiązuje bat, przyzywa sześciu wioslarzy, obiecuje im dwa galony rumu, jeśli go

prędko przewiozą, rozwiewa chustkę białą nad swą głową, jak gdyby był parlamentarzem, i dostaje się na pokład okrętu *Sęp*. Tam stanąwszy rozkazuje swym wioslarzóm udadź się za sobą, i oświadcza im, iż są jeńcami wojennymi. «Myśmy przybyli jak parlamentarze, i w tym charakterze powrócimy», zawołał starszy zpomiędzy majtków. Żwawy spór się wszczyna; Anglicy, więcéj okazali ludzkości, i byli sprawiedliwsi od Arnold'a. Clinton wypuścił na wolność wioślarzy.

Wkrótce dla spotkania się z Arnold'em, którego mniemał zastać w West-Point, Waszyngton przeprawia się przez Hudson z kilką oficerów. Rzeka była spokojna, pogoda przyjemna. Podziwiano się piękności rozległego przestworu, otoczonego, jak ramą, olbrzymiémi górami. «Salwa, którą powitani będziemy, rzecze Waszyngton, najszczytniéj się wyda, i huk dział uroczyście rozlegnie się po spiętrzonych gór rozpadlinach.»

Oczekiwana salwa, nie daje się słyszeć;

Waszyngton dziwi się. Jeden oficer z załogi ukazuje sięi i zstępując po nierównéj i krzywéj drodze, zbliża się do batu: «Od dwóch dni nie widziano Arnold'a, rzekł on, i żadnego odeń nie odebrano rozkazu.» Zdziwienie generała zwiększa się. Dwie godziny czasu obrócono na obejrzenie robót i rozpoznanie stanu garnizonu, po czém sztab główny skierował się drogą do domu Arnold'a prowadzącą.

Była już czwarta godzina, kiedy posłaniec przyniósł zarazem Waszyngtonowi, list Jameson'a, wiadomość o przytrzymaniu André'go, i papiéry znalezione w jego obuwiu. Waszyngton nie okazał najmniejszego wzruszenia.

—«Owoż, Lafayeoie (zapytał go pokazując mu papiéry) komuż można zaufać?»

Zasiadł do stołu, wydawszy przedtém rozkazy, nie tracąc ani na chwilę krwi zimnéj, jaka go zawsze odznaczała. W kilka minut potém, oddano mu list od Arnold'a, list bezczelny, wykrętnie i zdradziecko ułożony: «Nie starał się on bynajmniéj uspra-

wiedliwiać swego postępowania, które na przygany motłochu zasłuży; niewdzięczność spółziomków była mu znana; nie spodziewał się od nich żadnéj życzliwości; prawość sumnienia jedyną dlań będzie pociechą. Dwaj jego adjutanci, nic, jak twierdził, nie wiedzieli o jego zamiarach, a jedyną łaską o jaką prosił, było, aby jego żonie (niewinnéj jak anioł) pozwolono oddalić się do Filadelfii.» Czułe przywiązanie do żony, zdaje się, iż było jedyną uczciwą skłonnością uzacniającą tę duszę niecną i spodloną.

Prawie w tymże czasie Waszyngton otrzymał list od Beverly Robinson'a, z domaganiem się o wypuszczenie na wolność André'go. «André, powiadał on, udał się jak parlamentarz: w tym charakterze dostał się on za linije amerykańskie; a ponieważ zostaje pod ochroną prawa narodów, nikt go więzić nie może.» Oba te listy pozostały bez skutku.

«Od chwili kiedy André pisał do Waszyngtona (mówi major Tallmadge, w swym raporcie), aż do jego śmierci, nie

opuszczałem go; ja mu towarzyszyłem aż do miejsca domierzenia kary, ja go prowadziłem na szubienicę, z sercem boleścią rozdartém, widząc, iż tak dzielny oficer ginął śmiercią, jedynie zbrodniarzów udziałem będącą. W żadnym człowieku nie widziałem więcéj przyjemności w obejściu się, wdzięku, talentów bardziéj rozmaitych. Często podczas najprzyjemniejszéj z nim rozmowy, ujęty jego naturalną wymową, rozległémi wiadomościami, jego czarodziejskim powabem, kiedym rozmyślał, iż wszystkie te przymioty, cały ten wdzięk charakteru, wkrótce ręką oprawcy na zawsze zniszczone zostaną, mimowolnie łzami się me oczy zalewały.

«Kiedy odbywaliśmy razem drogę, umówiliśmy się wzajem, rozmawiać swobodnie o wszystkiém, co się nas obu tykało, nigdy nie namieniając o jakiéjkolwiek bądz trzeciéj osobie. Podróż naszę umiał on uczynić najprzyjemniejszą; mówił mi o wydarzeniach w swéj młodości, o rozporządzeniach wojennych, na jakich gruntował swe widoki, jeśliby przedsięwzięcie pomyślnie do skutku do-

prowadzone zostało, o punktach napadu, jakie w myśli ułożył. I z takiém życiem, z takiém przejęciem się wszystko to rozpowiadał, iż zdawało się, żem go widział z orężem w ręku, wdzierającego się na pagórek i biorącego West-Point.

— «Jakiéj nagrody spodziéwałeś się? zapytałem go.

— Sławy wojennéj, odpowiedział mi, pochlebnego przyjęcia méj usługi, przez mych naczelników i króla.

«Słuchając André'go wątpić nie można było o prawdziwości pięknych uczuć, jakie wynurzał.

— «Co myślisz o mém położeniu? zapytał mię, gdyśmy przybyli do Tappan.

«Pytanie było kłopotliwe i w trudność wprawujące.

— «Z jakiego stanowiska, mniemasz, sprawa moja wyda się generałowi Waszyngtonowi i sądowi wojennemu?

«Moje odpowiedzi obojętne nie zaspakajały go, i nakoniec musiałem mu powiedzieć jasno i szczerze, co mnie wiele kosztowało:

— «Miałem towarzysza od dni młodocianych wielce mi drogiego, który się nazywał Nathan-Hale. Po bitwie pod Long-Island, Waszyngton pragnął dostać wiadomości o położeniu nieprzyjaciela; Hale podjął się tego, i został wysłany. Przytrzymano go w chwili, kiedy w powrocie nazad przechodził za linije angielskie. Wiészże, przydałem dobitniej wymawiając ostatnie wyrazy, kończące moje opowiadanie?

— «Jak szpiega powieszono go . . Lecz bez wątpienia nie uważasz mego położenia za zupełnie podobne położeniu jego.

— «Owszem zupełnie jest takie, i podobny los cię spotka.»

«Przez chwilę jeszcze o tém rozprawiał, lecz wesołość jego znikła.»

Pomimo srogość obowiązków wojskowych, okazywano w postępowaniu z André'm tyle interesu i względów, ile to zgadzać się mogło z jego położeniem. Waszyngton żądał, aby mu dano czystą i przyzwoitą izbę, i aby grzecznie z nim postępowano. Amerykanie sami nie mogli się wzbronić, aby z podłością,

wiarołomstwem i okrutną dzikością Arnold'a, którego życie wolne było od niebezpieczeństwa, nie porównywać rzadkich przymiotów tego młodego szlachetnego człowieka, który miał bydź wydan na stracenie. Spółczucie względem André'go było powszechne; ono się okazało nawet pomiędzy oficerami składającymi sąd wojenny, któremu indagacyą poruczono. Pytano go, czyli stanąwszy na lądzie, uważał siebie pod ochroną chorągwi i charakteru parlamentarza. — «Nie, odpowiędział, nie mogę tego powiedzieć: przybyłem tajemnie, i zawsze się spodziewałem tymże powrócić sposobem.» Z największą ostrożnością André unikał wszystkiego, co mogło narazić inne osoby; nawet o Arnold'zie nie namieniał z gniewem, lub w sposób hańbiący. Process nie długo się odbywał: napróżno przesłano list Clinton'a do generała amerykańskiego, wraz z drugim listem Arnold'a, w którym utrzymywał, iż André jako przysłany w charakterze parlamentarza i przezeń dowodzącego w West-Point przyzwany, nie mógł ulegać żadnéj karze;

komissya wojenna nie dawała na to względu, i oświadczyła, iż major André nie w mundurze, lecz przebrany, wzięty w niewolą w obrębie linij amerykańskich, powinien bydź za szpiega uważany, i jako taki powieszony. Ostatni list André'go do generała Clinton'a, tak jest tkliwy i prosty przy całém czynu bohatyrstwie, iż nie można się odjąć, abyśmy go nie przywiedli:

«Wiadomo jest Jaśnie Wiel. Panu, w jaki sposób dostałem się w niewolą, ciężkość położenia, w którém zostaję, i los jaki mnie czeka. Otrzymałem od Waszyngtona pozwolenie pisania do Was. Pragnąłbym zniszczyć w Waszym umyśle obawę, iż moje przeznaczenie może Wam bydź przypisane, iż mogłem się uważać za obowiązanego, stosując się do Waszych rozkazów, przedsięwziąć to, com uczynił. Przechodząc za linije nieprzyjacielskie, i biorąc na się inną odzież, sprzeciwiłem się Waszym wyraźnym rozkazóm; ztąd moje obecne położenie. Co się tycze drogi, którą obrać byłem przymuszony, okoliczności i wypadki ją mi wskazały. Spo-

kojny jestem na umyśle, przygotowany do mego losu, jakikolwiek on będzie; chwalebna gorliwość w służbie dla króla o zgubę mię przyprawiła. Gdy piszę do Jaśnie Wielm. Pana, ważność obowiązków, jakiém zaciągnął względem Was i głęboka wdzięczność, którą czuję, na myśl mi przychodzą. Racz przyjąć dziękczynienia serca pałającego przywiązaniem i szczérego, za wszelką życzliwość, jakiéj odbiérałem dowody i życzenia z głębi serca pochodzące o Waszę pomyślność i powodzenie na przyszłość. Mam matkę i dwie siostry, przez ostatnie wypadki do ubóztwa przywiedzione, dla polepszenia losu których, wystarczyłaby moja wojskowa płaca. Nie mam potrzeby dłużéj się nad tém rozwodzić; dobroć Wasza jest mi, ze wszech miar, dobrze znaną i t. d.»

Waszyngton, który ze wszystkiego czynił ofiarę dla powinności, był wzruszony tém szlachetném zdaniem się na przeznaczenie. Tyle było w szczególnych okolicznościach téj sprawy wypadków tkliwych, ażeby to nie miało go uderzyć. One obudzały powszechną

sympatyją. Niesposobny, aby mógł poświęcić powinność i honor wojskowy dla uczuć osobistych, jął się on przeto ostatniego usiłowania na korzyść André'go, nim podpisał wyrok na śmierć go skazujący. Kapitanowi Ogden poruczono ubocznie zasięgnąć wiadomości, czyliby się generał Clinton nie zgodził na wymianę Arnold'a za André'go. Układ ten (zkąd inąd przeciwny prawóm wojny), nie mógł mieć żadnego skutku. Anglicy utrzymywali, iż przechodząc na stronę nieprzyjaciela, Arnold wypełnił swą powinność, poddając się prawemu monarsze i składając broń buntowniczą. Clinton więc odrzucał wszelkie przełożenia tego rodzaju; lecz natychmiast trzem jego oficerom poruczono wyjaśnić nowémi szczegółami fakta, o jakie spór zachodził, przywieśdź pytanie do prawdziwego stanowiska, z którego je rozbiérać należało, i niczego nie zaniedbać dla otrzymania wolności André'go. Oficerowie ci wypełnili dane im polecenia ze wszelką bacznością i gorliwością. Lecz oni także oddali inny list od Arnold'a do Waszyngtona,

list bezczelny i przeniewierczy, który sam już był wystarczającą pobudką do przyśpieszenia kaźni André'go. Przez dziwaczne i chełpliwe urąganie się, Arnold podawał się do dymissyi, spotwarzał i hańbił swych spółziomków, groził swą zemstą w przypadku, jeśli krew André'go rozlana będzie, zapowiadał, iż wymorduje własną ręką wszystkich parlamentarzy, jakich tylko spotka, i niczego nie zaniedbał, co mogło oburzyć i rozjątrzyć Waszyngtona i jego spółobywateli.

André zakończył życie nie tylko jak człowiek honorowy, ale nadto ze spokojném sercem, pogodną duszą i ze szlachetnością w zdaniu się na przeznaczenie, jakie były godne jego życia. Prosił on tylko Waszyngtona: «aby rodzaj jego śmierci był odpowiedny stanowi wojskowemu, jako człowieka honorowego.» Nieszczęśliwy nie mógł tego otrzymać, aby był rozstrzelany; nie odebrał nawet na swą prośbę odpowiedzi, i cisza duszy jego, ani na chwilę nie została wzburzoną. Największą jego obawą było, aby nie zosta-

wić w życiu generała Clinton'a przykrych wspomnień, podobnych do zgryzoty sumienia. Kiedy ta myśl niejednokrotnie zatruwała spokojność jego umysłu, wyrażał się z wymową najwznioślejszą i najgłębszą. W swém więzieniu oczekując na śmierć, najwięcéj zabawiał się rysowaniem. O poranku nawet dnia naznaczonego na domierzenie kaźni, skréślił on piórem swój wizerunek uderzającego podobieństwa, który oddał pewnemu oficerowi amerykańskiemu nazwiskiem Tomlinson, a ten dopiéro znajduje się w kollegium Trumbull; kazał sobie przywieźć z New-Yorku swój zupełny strój wojskowy, i oczekiwał zgubnéj chwili.

Godzinę kaźni naznaczono o południu, 2 Października. Kiedy ujrzał swego sługę wchodzącego łzami zalanego, rzekł doń: «Zostaw mię samego! nie powracaj aż nabierzesz więcéj męztwa!» potém ogoliwszy brodę i ubrawszy się:

«Panowie rzekł, skoro się wam podoba!»

Dwaj podoficerowie podali mu ręce, i on wyszedł krokiem mocnym, uśmiéchając się

do tych, których spotykał, i witając się z osobami znajomémi. Niezliczone zgromadzenie ludu, w głębokiém milczeniu, podziwiało się jego bohatyrstwu. Kiedy postrzegł szubienicę, zbladł nagle.— «Co ci jest? zapytano go. — Śmierć mię nie przestrasza, lecz mam w obrzydzeniu ten rodzaj śmierci,» i sam jął czynić smutne przygotowania.

— «Jeżeli chcesz mówić, rzekł doń oficer przy wykonaniu kary będący, możesz to uczynić.» Podniósł on na chwilę chustkę, którą oczy jego były zakryte.

— «Żądam zawołał, abyś był świadkiem, iż ulegam mojemu przeznaczeniu, jak dzielny żołnierz!» Wnet zemknięto z pod nóg jego wózek, na którym stał dotąd, a on wyzionął ducha.

Taki był koniec tego młodzieńca zarówno żałowanego przez życzliwych dlań jak i jego nieprzyjaciół. Zostawił on w Ameryce pamięć tak czułą, i tak głęboką, iż ślady dotąd jéj nie znikły; pamięć człowieka cnotliwego Waszyngtona, była wystawioną na niezasłużoną przyganę, jaką niektórzy hi-

storycy powtórzyli. Kongress, którego wódz naczelny tajnie się radził, sprzeciwił się oswobodzeniu tego winowajcy. Sprawcy pojmania André'go, chociaż zrazu nagrodzeni przez Kongress, byli wkrótce zapomnieni, i mniéj niż sam André wzbudzali interesu, a we trzydzieści sześć lat po tym wypadku, kiedy Paulding główny przywodźca pojmania, domagał się w Kongressie dodatkowéj pensyi, doznał tak silnego oporu, mianowicie, ze strony majora Tallmadge, iż ostatni utrzymywał, że ludzie podobnego rodzaju nigdy nie zasługują na publiczną nagrodę. Zwłoki majora André'go wydobyte z ziemi je pokrywającéj, przeniesione zostały do Westminsteru, i złożone wpośrzód wszystkiego, co jest wielkiém i godném wiekopomnéj sławy. Arnold, z którym się żona wkrótce połączyła, ogłosił drukiem obronę swego postępowania, silnie i z wielką zdolnością napisaną, która dowodziła, iż z tą duszą czarną, zdradziecko głęboką i przewrótną, łączył się umysł niepospolity, sprężysty i przebiegły.

Zaledwo ujrzał się on w szeregach wojska angielskiego, natychmiast poruczono mu dowództwo nad wyprawami skierowanémi na Wirginiją i New-London. Chciał on wejśdź w listowne związki z Lafayett'em i posłał doń parlamentarza; lecz postrzegłszy podpis, Lafayett oświadczył, iż nie chce mieć żadnych z tym człowiekiem stosunków. Pewnego dnia, kiedy przyprowadzono przed Arnold'a jeńca amerykańskiego: — «Jakby postąpiono ze mną, zapytał go, jeżelibym przez wasze wojsko wzięty był w niewolą?

— «Uciętoby ci tę nogę, która odniosła ranę w usłudze dla ojczyzny, pochowanoby ją, jak przystoi, a ciało powieszonoby na szubienicy.»

Znalazł on nakoniec spokojność wywrzeć gniew i zażartość, jakie oddawna krył w swém sercu przeciw swéj ojczyźnie: krwią zalał i ogniem spustoszył New-London, leżący o mil kilka od miejsca, gdzie się urodził, i kiedy miasto gorzało, wszedł na dzwonicę kościelną. W roku 1787 odjechał on do Anglii, gdzie lat dwadzieścia przeżył swą hańbę,

i sromotną zbrodnią. Nie słyszano mówiących o nim jak tylko z powodu matactw i wykrętów godzących na oszukanie, zręcznie poczętych lub wykonanych w taki sposób, iż sama tylko pogarda mogła go doścignąć, lecz nigdy prawo. Pewien członek Izby niższéj spostrzegłszy go raz w galeryi, zawołał: — «Dopóki ten człowiek tutaj będzie obecnym, nie przemówię ani słowa. Wyłączony zewsząd, oburzeniem i pogardą powszechną okryty, osiadł jak armator i budownik okrętów w New-Brunswicku, którego ludność natenczas składała się z wychodźców amerykańskich. Podejrzéwano go, iż podpalił jeden magazyn, zaassekurowany przezeń wzwyż nad jego wartość rzeczywistą. Zapozwano go przed sąd, lecz nie znaleziono dostatecznych dowodów. Lud pospolity który go miał w obrzydzeniu, postawił szubienicę przed jego domem, zawiesił obraz z napisem u góry przedstawującym nazwisko: *Zdrajcy*, i spalił go uroczyście naprzeciw okien Arnold'a.

Nikczemnik ten prowadził handel pomyśl-

nie, żył okazale i z wielkim przepychem; często powracał do Anglii, a zawsze wychodził z kłopotów przez swą krew zimną i przytomność umysłu. W *Pointe-à Pitre* (na Gwadelupie), służył on za agenta dla wojsk angielskich, dostarczał im żywności i rozmaitych potrzeb wojennych, za które otrzymał ogromne zyski. Francuzi odebrali na powrót Gwadelupę, schwytali Arnold'a i rzucili go wraz z innymi jeńcami na jeden z pontonów znajdujących się na zatoce. Pewien żołnierz uwiadomił go, iż był poznany. On natychmiast zamyka swój skarb w próżnéj beczce, kładzie tam list, w którym zapewnia dla siebie własność tego złota, rzuca beczkę do morza, skoro noc nastąpiła, a widział jak ją fale zaniosły aż do brzegu, u którego stała flota angielska; za pomocą więc liny, spuszcza się na dwie lub trzy deski znajdujące się w blizkości pontonu, i złożone w kształcie płytu; odrzyna linę do tych desek przywiązaną, i dopływa aż do niewielkiéj łodzi bez wioslarzy, na którą przesiadłszy i sam nią kierując, zdąża aż do

floty angielskiéj. Ten wzór zbrodni pomyślnym skutkiem uwieńczonéj i występku z powodzeniem kwitnącego, wraca nakoniec, zażywać ogromnych dostatków nabytych przez tyle rodzajów niecnego spodlenia się, do Londynu, gdzie umarł mając lat 61 wieku, 14 Czerwca 1801 roku.

(*American Biography.— Revue britannique.*)

ROZMAITOŚCI.

Artystki i artyści dramatyczni, składający teraźniejszy teatr polski w Wilnie.

Wiadomo już, po większéj części, czytelnikóm naszym, jakie usiłowania i niezmordowane trudy podjął P. Szmidtkóff dyrektor dzisiejszéj sceny polskiéj w Wilnie, ażeby ją na drodze prowadzącéj do udoskonalenia postawić. Zdziałał prawie wszystko, czego potrzeba, iżby materyalny skład teatru, nietylko znośnym, ale przyjemnym i gustownym uczynić; lecz inaczéj się rzeczy mają z osobami składającémi scenę; żeby je wychować i zdatnie ukształcić, długiego na to przeciągu czasu, wytrwałéj i niezmordowanéj pracy, tudzież znakomitych nakładów potrzeba. Nowy przeto dyrektor, nie mogąc refor-

mować sceny naszéj, co do *artystek* i *artystów*, przestawać musi na tych, którzy dotąd Publiczności wileńskiéj, z mniejszém lub większém powodzeniem, stosownie do swoich talentów, ich uprawy, oraz własnéj mniéj lub więcéj dobréj chęci, służyli.

Publiczność wileńska pojmuje dobrze i zna dostatecznie wartość ukształconego teatru; zna cel i zbawienne skutki sceny każdego rodzaju: potrafiłaby, niemylnie i bezstronnie, w prawdziwém świetle wystawić zdolności, tudzież zasługi każdego z tutejszych artystów; ale z takiego wywiania niewieleby czystego i dojrzałego ziarna otrzymała. Przetoż częstokroć przyjmowała na tomiast nieważne plewy, nieodrzucając ich bynajmniéj ze wzgardą; zwłaszcza że nie widać było w przyszłości nadziei bujniejszego plonu.

Owoż, jak z wielu innych, tak i z tego jeszcze względu należy się P. Szmidtkoffowi wdzięczność niezaprzeczona, że się jął do uprawy tego jałowego dotąd odłogu, z którego, przy pracy, wytrwałéj usilności i pobłażaniu wzajemném (z naszéj strony, że złe za dobre niekiedy przyjmujemy, ze strony zaś artystów, że czasami cierpią niedostatek), obfite kiedyś da się zebrać żniwo. Dzisiaj sąd bezstronny i światły téj cywilizowanéj Publiczności umié oddawać należną i zasłużoną każdemu z artystów sprawiedliwość; jego się przeto radząc, skréśliliśmy charakterystyczniejsze rysy, *artystek i artystów dramatycznych składających teraźniejszy teatr*

polski w Wilnie. Do znawców prawdziwych należeć będzie, wyrok, czyśmy temu przedsięwzięciu należycie odpowiedzieli; dla tego uwagi, gruntowne, w téj mierze, w przystojnym i godnym społeczności cywilizowanéj tonie wyrażone, chętnie przyjmiemy i do publicznéj wiadomości podadź gotowi jesteśmy, choćby te, w brew nawet, wyrażonemu tu zdaniu, przeciwne były, a zupełnie, w inném świetle, pokazywały *artystek* i *artystów* naszych dramatycznych, których wyszczególniamy, jak następuje:

ARTYSTKI.

Górska Izabella.—Piérwsze miejsce między aktorkami naszego teatru trzyma. Znaczenie każdéj roli pojmuje, i każdą właściwie oddaje; na niéj polegać można, iż żadnéj sztuce nie przyniesie uszczerbku; a nie jednę, grą swoją jedynie, podniesie. Celująca jest na scenie w uczuciach namiętnych, do występku skłonionych lub żałujących nieprawości przeszłych albo w walce pozornych powinności rozdroża z cnotą. Z niéj jest najlepsza matka potajemnie spłodzonych dzieci; z niéj czuła i pełna poświęcenia się kochanka opuszczającego ją zwodziciela; z niéj przejęta strapieniem córka, pożerająca w sobie ogień zniszczenia, aby tajemnicą dni rodziców uszanować. W takiém lub temu podobném położeniu widzieć ją można w sztukach: *Wendetta, Jest temu lat szesnaście,*

Dziesięć lat życia kobiéty, *Aniela de Gaston*, i t. d. Również dobrze wytrzymuje w rolach nieskażonéj cnoty, w zapale wieszczego natchnienia, w pokonywaniu ogromu tłoczących się przeciwności aż do obłąkania umysłu; taką jest w *Dziewicy Orleańskiéj*. Długi monolog na początku 4go aktu téj sztuki jest świadectwem wysokich zdolności JP. Górskiéj. Cnota cierpiąca w sztukach: *Trzydzieści lat życia szulera*, *Zbójcy* Szyllera, *Sierota z Genewy*, *Włóczęga* i *Familia Rikcburg*, jak nas przekonywa, że musi bydź wyżéj nagroda za takie życie na naszéj ziemi spędzone; tak też wróżyć pozwala, że wieniec chwały skronie naszéj artystki ozdobi, za jéj odegranie. W operze *Mularz* i *Ślósarz* JP. Górska w przeciwnym zupełnie występuje zawodzie: jest to kmoszka paryzkiego przedmieścia, niespokojna o resztę wdowich wdzięków, zazdrośna zamężcia pani mularzowéj, nieporównana w kłótni z panną młodą, w chytrém ubolewaniu nad nią z powodu samotnie przepędzonéj nocy, i w ciekawości docieczenia tajemnicy; taką chciałby mieć, takiejby szukał *Scribe*; chociaż *Auber* zaledwieby się mógł zgodzić na nię, przez wzgląd na rolę w téj operze podrzędną. Przyrodzenie nie obdarzyło JP. Górskiéj głosem, ztąd też wymagać po niéj dobrego śpiéwania nie powinniśmy: usilność człowieka wiele pokonywa rzeczy, ale z naturą walczyć nie może. W ogólności JP. Górska unikać powinna roli zbyt młodéj dziewczyny, która już wdzię-

kiem lat część gry swojéy zapełnia; łatwiéj się bowiém przebacza brak doświadczenia nie śmiało występującéj aktorki, niż mniéj stosowna dojrzałość wieku, przy całym zapasie sztuki. Pomimo te lekkie wady, wynikające z niedostatku aktorek do zapełnienia rol stosownych, i z przyrodzenia, które chociaż hojnie obdarzyło JP. G ó r s k ą w scenie wzniosłych uczuć, nie dało jéj atoli głosu do muzyki; JP. G ó r s k a niezaprzeczone ma prawo do wdzięczności naszéj, przez znajomość sztuki scenicznéj, przez pilność w nauczaniu się roli i przez talenta które nie są udziałem łatwym do nabycia. Ona jest ozdobą naszego teatru: kształtnéj budowy ciała, ruchy ma zręczne i stosowne do roli, grę utrzymuje ciągłą, chociaż w milczeniu przez pantominę i poruszenia. Piętno cierpienia wyryte na twarzy, czy to z powodu teatralnego jéj powołania, czy z przyczyn domowego pożycia, dając jéj łatwość tragicznéj sceny, ujmuje zalet w rolach wesołości swobodnéj.

Z a m e c k a.—Ta aktorka nigdy słuchaczów do smutku nie przywiedzie, z nią nikt płakać, ani nad jéj losem ubolewać nie będzie. Postawy kształtnéj, wzrostu miernego, oczu żywych, wesołego wyrazu twarzy; na piérwszy rzut oka, widzi każdy, że ona drogę życia wynajdzie, że głodu, niedostatku i nędzy niespotka. Taką rolę niechaj wybiéra, a oklaski będzie zyskiwała i młodzież skłonną do powodzenia bez troski, choćby jéj przyganiając sobie zniewoli, i starców czoła pustotą

rozjaśni. W *Człowieku trzechwiecznym*, zalotnica na chwilę w celu poprawienia obyczajów skażonych w rodzinie, teścia i zięcia do jednéj szafy zamknęła, śpiéwając dała cierpką naukę obudwóm, sama zaś swobodna i przedtém i potém nie miała udziału w upokorzeniu. W *Dawnych grzechach*, tańcując przeskakuje przykrości życia, niedba o dobre imie, a nogóm ufa, że dobre mienie dla niéj zyszczą. W *Bankocetlach przeciętych*, niby za dziewczynę służy aktorce, postać pani przybiérającéj, a jednak grzankę swoję piecze, i sama się zaleca ukradkiem, aby panią przez zamążpójście została. W tych trzech sztukach JP. Zamecka bardzo dobrze odpowiada zamiaróm roli, na jéj granie zapatrując się słuchacze tak są uradowani, że zapominają, na chwilę, o sztukach i o niedobrym ich wyborze, a co właśnie zastosować można do dwóch piérwszych tu zacytowanych. JP. Zamecka przybywając na naszę scenę z Warszawy ogłosiła w afiszach, że jest artystką ze szkoły dramatycznéj; lecz i bez tego ogłoszenia, każdy łatwoby w niéj mógł poznać, wykształcenie naukowe: jéj śpiéwanie, jéj taniec jest nawet dowodem, że się nauka dobrze przyjęła, znać, że trafiła na zdolność wrodzoną. W rzeczy saméj JP. Zamecka głos ma dobry, ucho muzyczne i wypracowaną łatwość przechodzenia tonów, słowem jest to *Prima dona* naszéj opery. Na ten raz, nie są to zbyt wielkie pochwały; ale w krótkim przeciągu cza-

su przy troskliwéj dyrekcyi JP. Smidtkoff'a nasza opera nie będzie do pogardzenia; ba! już i teraz tak jest interesującą, że kto lepszéj nie widział, (a nas takich najwięcéj) i kto przekonany, że błądzić ludzką jest rzeczą, może bydź w illuzyi, iż słucha doskonałości skończonéj. Kiedy zaś opera zbliży się do tak pożądanego kresu, wówczas godziłoby się nam prosić, aby i nasza *Prima dona* popracowała nad tém, co się technicznym wyrazem zowie *sostenuto* i *crescendo*; to jest, aby tchu oszczędzać i w niepostrzeżonym spadku, stopniami mocy dodawać ciągnionemu tonowi, i podobnież stopniami zwalniać, a to w miarę gestu i uczuć wydawanych; a przez to samo uwolniłaby się od tego raptownego chwytania powietrza, które często daje się słyszeć u Panny Zameckiéj. Z wielką przyjemnością wszakże słuchamy jéj głosu, w operach nie łatwych do wykonania, jakiémi są: *Zampa*, *Mularz* i *Slósarz*, *Cyrulik Sewelski*, i *Fra Diavolo*. JP. Zamecka równie się odznacza w tańcu; jéj mazur solowy zawsze jest z najżywszém upodobaniem przyjęty, żaden balet niemógłby nas tyle zająć, ile to zręczne ujęcie wszystkich charakterów tak ulubionego tańca. Chcąc godnie zakończyć zdanie nasze o JP. Zameckiéj, zachowaliśmy na ostatni kąsek małą sztuczkę: *Antoś* i *Antosia*. W roli *Antosi* ona jest wyższą nad wszystkie pochwały; w niéj, ona nam przedstawiła, nieudaną, ale prawdziwą prostotę wieśnia-

śniaczki; jéj słuchając, na nię wtenczas patrząc, nikt o aktorce nie myślał. Piękniejszego wrażenia sprawić nie można!

Fiszerówna.—Wielką jest siła młodego wieku, przy okrasie wdzięków urody, dobréj wymowy i śmiałości. Z tym zapasem występując JP. Fiszerówna na scenę wileńską mogła bydź pewna dobrego przyjęcia, nie szukając punktu podpory na teatrze krakowskim; gdzie, zważywszy na wiek jéj, mniemamy, że nie miała dość czasu do nabycia wprawy. Trudny zaiste wybrała sobie wstępny zawód w roli *Precyozy*, w któréj przywykliśmy do gry wykończonéj, przez JP. Górską, i nie jeden z obecnych pamięta JPannę Zawadzką. Ubliżylibyśmy wspomnionym artystkóm, gdybyśmy im współzawodnictwo z Panną Fiszer naznaczyli. Ztémwszystkiém piękny początek jest nam rękojmią przyszłéj doskonałości: tymczasem prosilibyśmy o wolniejszy krok w stąpaniu, i o stosowniejszy wyraz twarzy do uczuć. Uśmiéch, przyjemny jest do widzenia, ale w smutku i boleści serca bardziéj się przykrzy niż najzimniejsza obojętność.

Młódszéj Panny Fiszerówny, przy piérwszém zaraz wystąpieniu, gra śmiała i roli odpowiedna, wielkie o niéj na przyszłość rokować pozwala nadzieje. W ogólności, ukazanie się na scenie wileńskiéj Panien Fiszerówien, nader miłe na tutejszéj Publiczności sprawiło wrażenie, przypominając jéj te przyjemności, jakich niegdyś zapatrując się na grę

wzorową państwa Fiszera i Fiszerowéj doznawała. Pod godłem tych urocznych przypomnień Panny Fiszerówny zdobiąc scenę tutejszą, mogą bydź pewne wszelkiego zachęcenia.

Czarnecka. — Téj aktorce nie braknie doświadczenia, dawno już grywa na naszym teatrze; grywała przedtém w Mińsku i w pomniejszych przenośnych teatrzykach: nie braknie jéj wdzięków twarzy i postaci, ani lat nie ma jeszcze nadto, aby w rolach dojrzałéj młodości grywać nie mogła. Ale to doświadczenie, przy pomocniczych śrzodkach natury, nie dało jéj zebrać obfitych plonów; jakaś martwa oziębłość, stawa jéj na przeszkodzie do zjednania od słuchaczów, lepszego przyjęcia. Głosek ma nie wielki, ale czysty i dosyć trudności pokonywający, przeto w operach nie złe miejsca może zajmować. W *Mularzu i Slósarzu* rolę Panny młodéj, w *Panu Jowialskim* rolę szambelanowéj, dobrze odegrywa.

Żukowska. — Jest to stary exemplarz wytrawionéj aktorki: jak w bibliotece księga w pergamin oprawna, choć ją mole gryzą, gdy zdrowo pisana przetrwa lat wiele i ozdobą zbioru długo będzie; tak pani Żukowska przeżyła niejednę aktorkę na scenie, a w pamięci naszéj długo pozostanie. Cały szereg, czarownic, cyganek, żebraczek, bab zrzędnych, przesądnych, gospodyń i t. p., z najdokładniejszym skutkiem zupełnego wrażenia, przez nię może bydź przedstawiany. Niech

jéj wszystkie święte patronki przebaczą za *ta exklamacya*, i temu podobne wyrażenia, jakich się dopuszcza z obrazą prawideł grammatycznych; my się za to gniéwać nie możemy, przez wzgląd na prawdę schwyconą w naturze, w samych nawet skrzywionych wykrzyknikach, jakich się podobne baby nie wystrzegają. Nade wszystko celuje w rolach: staréj gospodyni w *Narzeczonéj z Lamermooru*, cyganki *Wiardy* w *Precyozie*, sekutnicy rozbojniczéj w *Dwóch słowach* czyli *Nocy okropnej* i t. d. chcąc dobrą jéj grę przez wyliczone sztuki oznaczyć, trzebaby wszystkie, do których wchodzi, wypisać.

B u r d z i ń s k a. — Aktorka mierna, składu ciała bez żadnego powabu, przybierająca nadętość zamiast powagi, często zaniedbująca nauczenia się roli, nieumiejąca korzystać z suflera, chwyta niekiedy słowa drugiéj aktorce szepnięte, i śmiészność wzbudza w scenach tragicznych. A jednak jeśli się roli nauczy i w karykaturę się przedzierzgnie, jak z poczwarki motyl, tak z jéj wad doskonałość się wyradza. Ktokolwiekby ją tylko w jednéj roli *Pani Jowialskiéj* słyszał, z oburzeniemby przyjął najmniejsze przeciw niéj zarzuty; kiedy dygając powtarza: «*Oj! figle, figle, mój Jegomość!*» kiedy jeszcze wtenczas okulary z nosa zdejmie, i przerwie robotę pończochy; spłakać się trzeba ze śmiéchu i wykrzyknąć, że tak Pani B u r d z i ń s k a powinna bydź stworzona, aby się ludzióm podobać. Dobra też z niéj ciotka, pełna śmié-

szności w komedyi Fredra, *Damy i Huzary*.

Panny: Józefini, Kononowiczówna, Boniszewska, Botwinówna, i Maximowiczówna, tyle jeszcze są znane, ile dekoracye teatralne; czy one nas śmiészyć, czy oburzać, lub rozrzewniać kiedyś będą, przewidzieć niemożemy. A póki to nastąpi, niech nabiorą otuchy, niech się przekonają, że Publiczność wileńska więcéj do pobłażania ma skłonności niż do odstręczenia przedwczesném wyśmianiem. Dwie z nich, nawet, nie wiém które, w *Człowieku trzechwiecznym* w roku 1937 z taką bojaźnią wystąpiły, i tak się zmięszały z powodu, że goście do spożywania gazów nie przebywali, a ich się rola skończyła, iż zdawała się postrzegać na nich chęć zemknienia za kulisy. Aleć to przecie, na przyszły wiek tak dziwnie opisany, uszło wybornie.

ARTYŚCI.

Rogowski. — Patryarcha sceny wileńskiéj; żyjąca tradycya wzrostu, upadku, rozchwiania się, przerwy; nowego zbioru aktorów, nowych powodzeń, i tych samych co pierwéj niepomyślności; a wszystkie te zmiany kilkakrotnie powtarzane, koło niego, jak koło osi niewzruszonéj się okręciły. Przyjaciel teatru, nieodstępny w niedoli i w szczęśliwszym losie, udział chwały i wdzięczności w każdym razie bierze. Nietyle stary

w wieku, ile w latach na usłudze scenicznéj spożytych; bo od kolebki prawie, aż do tychczas trudy swe przyjemności naszéj poświęca. Żyją jeszcze i czerstwi są koledzy szkolni JP. Rogowskiego, którzy pamiętają *Rochitański studentów teatr*; tam zédle deskami pokryte służyły za podniesienie, a dwa prześcieradła za kortynę i dekoracyą. Taka była kolebka, i takie pieluchy rodzącego się aktora dla wileńskiego teatru. Z nich wyrosło dziécię z usposobieniem szkolnych nauk, wykształciło się w dorodnego młodzieńca pięknéj budowy ciała, miłego organu głosu i przeżyło lat czterdzieści z pełna, pod dachem malowideł płóciennych. Moralne uczucie artysty, skłoniło go, zapewne, do przyjmowania rol poczciwych i poważnych, w sztukach wyższego rzędu; w mniejszych upodobany był z niego trefniś figlarny i *buffo*. Spuśćmy zasłonę na pięknie przepędzony zawód, a jak wywołanemu aktorowi po dobrze odegranéj sztuce, złożmy hołd oklasków. Nie mamy zamiaru skréślać życia JP. Rogowskiego i ślady zbiérać wszystkich jego powodzeń, powiémy tylko co słyszymy dotąd, że dobre wspomnienie o sobie i swoim talencie we wszystkich serca zaszczepił. Teraz jeszcze, starzec sił osłabionych nie raz ognia dobędzie, i z godnością, acz mniéj wyraźnie przemówi. W prologu do *Dziewicy Orleańskiéj* w roli *Teobalda*, żywo maluje klęski Francyi. W *Zbójcach* Szyller'a i stosowną do wieku miał rolę, i odegrał ją

z powodzeniem najlepszém. Szanujmy, z resztą, dni zasłużonego artysty, pokrywajmy raczéj małe jego usterki, niżbyśmy je wytykać mieli.

Skibiński.—Jest komikiem w całém znaczeniu: zachowanie przyzwoitości w grze, ma sobie za prawidło; śmiészność z tém co przystoi, tak umié połączyć, że i zabawi zarazem, i nigdy płaską pantominą, ani szorstkim wyrazem słuchaczów nie obrazi. O nim jednym tylko możemy powiedzieć, że *Farsę* od *Komedyi* rozróżnić umié; błaznować łatwoby potrafił, a jednak rzadko się w to wdaje, całego swego talentu używa na oddanie charakterów dobitnych, skępstwem, chciwością, tchórzostwem, chytrością lub tym podobnémi ułomnościami nacechowanych. Ustalona jego sława, już niezależy od naszych pochwał, ani ta lekka wzmianka świetności jego talentóm nie doda. U nas znajomy od dawna, JP. Skibiński oprócz naszego, nie w jednym z celniejszych teatrów z uniesieniem był przyjmowany. Przejeżdżał on kilkakrotnie do Krakowa, długi czas tam przebywał z żoną swoją, statecznie z nim losy i zawód dramatyczny dzieląca, aż do ostatnich dni życia swojego. Ona jako wyborna śpiéwaczka opery, on, w rolach komicznych ze znajomością muzyki, też do składu oper aktor pożądany, mogli bydź i byli chlubą nie jednéj sceny, i nie jedno też pióro, w pismach publicznych, sprawiedliwą pochwałę téj parze oddało. Odznaczający się talent tego znako-

mitego artysty najświetniéj występuje, w rolach: *Sozyi* w *Amfitryonie*, *Bazylego* muzyka w *Cyruliku Sewilskim*, *Pedra* w *Precyozie*, Organisty w *Krakowiakach i Góralach*, Pana *Majora* w *Damach* i *Huzarach*; a świéżym wsparł dowodem słusznie nabytéj sławy w roli Dozorcy oddanéj mu pod straż *Amy Robsart* kochanki *Leicestera*, w *Zamku Kenilworth*.

Aśnikowski.—Trudno, pogardę z zasługą tak dobrze w równowadze utrzymać, ażeby skazówka szali na miejscu została. Na to trzebaby wyłącznego usposobienia; a jednak JP. Aśnikowski tyle usilności dokłada, aby i jedno i drugie posieśdź, iż prawdziwie nie wiémy co w zdaniu Publiczności na jego stronę przeważa: czy pogarda, czy zasługa? Wzorem jego zdają się bydź ci włoscy łudzigrosze jarmarczni, którzy na plecach szatry teatralne przenosząc wciskają się w tłumy, drwinkami parę łokci kwadratowych ziemi u motłochu wyproszą i w oka mgnieniu scenę zbudują, i w oka mgnieniu przystroją się w dziwne postaci; a wlazłszy na scenę, z roskoszném ubawieniem gawiedzi makarony zajadają, i resztką niedojedzionych obrzucają i widzów i swych kollegów. Tylko że nasz naśladówca nad makarony, posilniejszą strawę przenosi; ma minę tuczonego kiełbasami i kołdunami pasibrzucha, i wchodzi na scenę z nieotartą gębą lśniącą się od tłustości, z któréj miota bez przerwy nieprzebrany materyał plugastwa; bucha niestrawionym za-

pasem pokarmów, i wykrzywia się z taką odrazą jakby kurcze żołądkowe cierpiał. A przez to, taki pomnik sławy dla siebie buduje, że się już wyżéj nad teatralną galeryą wynosi; szkoda tylko, że o fundamentach zapomniał. JP. Aśnikowski wdzięcznym byłby temu autorowi, któryby w sztuce najważniejszą jemu rolę przeznaczył niepisząc do niéj słów żadnych; onby ją własnémi konceptami zapełnił. Wyższy nad wszystkich w świecie autorów, żadnéj sztuki bez dodatków nie puści; jeżeli jéj nie może słówkiém ozdobić, to pewno coś dowcipnego przyda w akcyi lub pantominie. Jest to natręt tego rodzaju, który wprawiwszy w oburzenie słuchaczów, niezraża się i nieprzestaje błaznować, póki swego nie dopnie i nierozśmiészy, pomimo woli. Zdolności JP. Aśnikowskiemu zaprzeczyć nie można, wprawę ma wielką, rolę zawsze umiéwa, głos dobry, posiada znajomość muzyki, przeto i w operze ma swoje miejsce; byłby aktorem wybornym gdyby o godności człowieka pamiętał. Kiedy sztuka wiérszem pisana samowolność jego skrępuje, lub szczęśliwym trafem sam dodatków wszelkich zaniecha, staje się wzorowym. W ogólności w komedyach Fredra celuje, a przed wszystkiémi w *Panu Jowialskim* przez deklamacyą bajeczek w najlepszym artyście wzbudzić zazdrość może: w téj roli wszystkie zarzuty ustają! W każdéj innéj, widny w nim talent zeszpecony tylko obrazą przyzwoitości. A wszakże Panu Aśni-

kowskiemu, jako artyście, wyznawcy i czcicielowi sztuk pięknych, pomniećby się na to godziło, że teatr, jeżeli nie obyczajów, to przynajmniéj szkołą gustu dobrego bydź powinien. Do każdéj sztuki pięknéj należy idealizować i poprawiać, że tak rzekę, przedmioty przyrodzenia, nie zaś je oszpecać i poniżać. Jesta gminne i nieprzystojne P. Aśnikowskiego oburzają, ohydny a częstokroć gorszący i sromotny wystawując obraz.

Wspomnieć winniśmy jeszcze o dwóch sztuczkach niewiadomego autora, w których głównie, a w jednéj z nich sam jeden prawie, występując JP. Aśnikowski, przypieczętował patent służby błazeńskiéj wileńskiego teatru. Jedna z nich nosi tytuł: *Łatwy sposób płacenia długów*, druga: *Pan Grzybek* czyli *Siedm kochanek apszytowanych*. W obu tych sztuczkach aktor z autorem tak stanęli na równi, iż albo sam P. Aśnikowski je pisał, albo mozgu przyjaciela swego lub współ wyznawcy do tego użył. Bywa też P. Aśnikowski używany do charakterów zbrodniczych, i nie złe w tych rolach ma powodzenie; w sztuce *Dziesięć lat życia kobiéty*, stawi nam dokładny obraz, wyuzdanego na wszystkie bezprawia, łotra. W przedstawionéj niedawnémi czasy sztuce Szyller'a: *Zbójcy* czyli *Karol Moor*, autor chciał okazać zbrodniarza ukrytego pod pozorem powierzchownéj godności; P. Aśnikowski nie zrozumiał téj myśli, i od razu przybiérał postawę łatwą do odgadnienia.

O! gdyby zbrodnia tak jawnie poznać się dawała, nie czekanoby jéj skutków na osądzenie złych ludzi!

Prosilibyśmy jak najusilniéj P. Aśnikowskiego, ażeby na przyszłość, jeżeli nie siebie, to Publiczność więcéj szanował:

Offenduntur enim quibus est equus et pater et res;
Nec si quid fricti ciceris probat et nucis emptor,
Aequis accipiunt animis donantve corona.

Napomknione tu zlekka uchybienia i niektóre wady w grze P. Aśnikowskiego, łatwo dadzą się sprostować, jeżeli ten artysta zechce mieć to zawsze obecném w pamięci, że prawdziwéj Publiczności nie składają *fricti ciceris et nucis emptores*, lecz ludzie światli, obdarzeni wykształconym smakiem, oburzający się na rozpasany cynizm i zniewagę przyzwoitości cywilizowanego towarzystwa; ludzie którzy częstokroć młodzieńcze rodzeństwo swoje, płci obojéj, widokiem sceny rozerwać i zabawić pragną, a którym byłoby markotno oglądać psowane tam zarody dobrego wychowania młodzieży, gdzie się dla niéj szkołę gustu pokazać spodziewali. — P. Aśnikowski przed wielu innymi artystami otwartszą ma dla siebie do uprawy swojego talentu drogę; posiada bowiém języki obce, może w nich czytać nauczające o sztuce dramatycznéj dzieła, i z nich codziennie do postępów dalszych odnosić pożytek. Jakoż sprawiedliwie powiedzieć nale-

ży, że téj korzyści nie zarzuca zupełnie: repertoryum bowiem polskiéj sceny ubogie w nowości dramatyczne szkoły świéższéj, zbogaciło się, témi czasy, kilką tłumaczeń jego pióra. Tłumaczenia te, jakkolwiek w czytaniu wydałyby się niepoprawnémi, na scenie wszakże, w ustach aktorów, przy całéj illuzyi dekoracyj, *kostiumów*, muzyki, udania artystycznego i t. d., uchodzą. Wszakże przy niezaprzeczonym talencie, w wieku młodym, P. Aśnikowski trzymając częściéj pióro w ręku, i formując się na dobrych wzorach, może zostać poprawnym nawet pisarzem: *fabricando fabri fimus.*

Chełmikowski.—Póki intryga miłośna nie przestanie bydź przedmiotem sztuk teatralnych, póty ludzie młodzi, przystojni, dobrze złożeni, zręczni w ruchach, będą w teatrach na kochanków używani. W tym zawodzie, na jednych zdolnościach przestać nie można, oprócz nich, trzeba bydź jeszcze od saméj natury łaskawie uposażonym. To dobrodziejstwo przyrodzenia, na naszym teatrze, zlało się na JP. Chełmikowskiego; on u nas jest kochankiem z professyi; on swe usługi poświęcać musi téj dziwacznéj pani, która się zowie miłością. Jest to aktor skończony, wszystkie przymioty posiada, i wszystko to umié, czémby kaprysóm swéj pani dogodził: westchnąć, zaśpiéwać rozweselić, zasmucić się, tęsknić, i t. p., oszukać straże kochanki, i czujność opiekunów, przebrać się za doktora lub żołniérza, udadź pijanego,

słowem wszystkich zażyć fortelów, aby potém choć chwilkę rozpływać się w czułym duecie z kochanką, czy śpiéwanym, czy gadanym lub na pantominie. JP. Chełmikowski w operze, w dramacie, w *wodewillu*, w komedyi i w tragedyi, kochanek przez wszystkie stany: książę i parobczak, student pod okiem guwernera i dziedzic obszérnych włości, w rozlicznem położeniu zawsze do jednego celu zmiérza. Jest to cacko teatru, toaletka damskich potrzeb, misternie zrobiona, dobrze wypolerowana; w niéj pod ręką ma wszystko dziewczyna, w niéj się przejrzy, przed nią się ubierze, wystroi, w niéj piękne narzędzia do wszystkich robotek, spirytusy od słabości, potajemniki, w nich papier gładki jak atłas, atrament wonny, i piórka delikatnie temperowane; wszystko jest na swojéj skali w niewielkiéj objętości; lecz nic nowego już dodadź nie można, gdyż miejsca braknie. P. Chełmikowski też się zaokrąglił i zawarł w swoim talencie, nic mu nie mamy do nagany, lecz i postępu od kilku lat w nim nic widzimy. Publiczność jest także kochanką, a do tego wymagającą i chciwą postępu w swym Adonisie; o jéj się łaskę też dobijać potrzeba; zapewnienie zaś stałéj miłości, ten tylko od niéj otrzyma, kto doskonałość osięgnął. Toaletka z czasem się zużyje; nowa, lepsza czy gorsza, ale nowa, musi kiedyś jéj miejsce zastąpić. Tamta się sprzeda, a wartość jéj pieniężna może się zamienić na rzecz szacowniejszą i większego niż

pierwéj użytku. Tak i P. Chełmikowski, gdy lata przyjdą, wiek karku pochyli, nogóm, rękóm i twarzy władzy zalotniczéj odejmie i serce do czułości wyziębi, zawód kochanka porzuci, a przy nabytéj wprawie i zdolności, szacowniejszym aktorem w innym zawodzie bydź może.

Surewicz. — Tego artystę, przeznaczenie powiodło najchlubniejszą drogą, czy wyższém i szlachetniejszém od swych kollegów czuciem obdarzony? czy dusza jego tak silna, że walkę z niedolą wytrzymywać może? Czemu gromy nieszczęścia w niego tylko biją? On jest tém drzewem wyniosłém, przedmiotem wichrów burzliwych; górą w obłokach ukrytą, rodziną niszczących potoków; on, tą wielkością niepojętą, należącą do tajemnic natury. Mógłby kto rozumieć, że tém wszystkiém jest JP. Surewicz? — Nie; on tylko tę rolę zajmuje. Lecz, jakkolwiek dalece wyższego nadeń artystę możemy sobie wyobrazić, on tylko jeden z grona naszych aktorów, może w tym zawodzie godnie występować. Któżby inny grać mógł u nas *Hamleta* Szekspir'a, albo *Karola Moora* w *Zbójcach* Szyller'a. W tych rolach, bez wątpienia, tak trzeba wystąpić, ażeby i wyższe stanowisko nad ludzi pospolitych zająć i uniknąć przesady; trzeba się takim okazać, ażeby we wszystkich wzbudzić poszanowanie i niejakąś trwogę. Nie jestże to chlubniejsza droga nad inne, w których i czołgać się i przeskakiwać, wszystko uchodzi? W téj tylko, trzeba bydź nie-

wzruszonym w raz przyjętych zasadach; tą drogą kto iśdź zaczął, godzien pochwały. JP. Surewicz zaś, piękne ślady po sobie zostawił, i gwiazda jego nie zagaśnie. Warto go słyszeć w roli *Edgara*, w *Narzeczonéj z Lamermooru* we *Włoczędze*, w roli *Dunois*, w *Dziewicy Orleańskiéj* w *Familii Rikeburg* i t. p. Grywa czasami kochanków, w *Jędrusiu z Jędrychowa* może bydź stawiony za przykład najlepszego grania, i stwierdzić w udaniu to, coby do siebie samego mógł zastósować; to jest, że z niezgrabnych początków, przy śmiałości i pracy dochodzi się z czasem do zupełnego wykształcenia.

Moszyński.—Artysta, bardzo pięknym głosem odznaczający się, co mu wszakże nie przeszkadza czasem śpiéwać fałszywie. W *Zampie*, *duet* ze znalezioną żoną na początku drugiego aktu, może mu do popisu służyć. W parobczakach mazowieckich i krakowskich wybornie występuje. W rolach kochanków lub rycerskich, na szeregowego zdaje się bydź właściwiéj stworzony jak na dowódzcę.

Burdziński.—Gdyby nie rola Szambelana w *Panu Jowialskim*, w któréj, równającego się sobie współzawodnika mieć nie może, niebyłoby czém tego artystę podtrzymać. Rzadko kiedy z mierności wychodzi.

Łosicki.—Bez niego nie mielibyśmy *Jakubciów*, *Gawełków* i *Piotrusiów* teatralnych, na naszéj scenie i tych wszystkich ruchawych półgłówków, których nic nie martwi, zawsze

radzi z siebie i chyba niechcąc komu pomogą, a chcąc pomagać, pewno zaszkodzą. JP. Łosicki ginie, skoro tylko z tego zakresu wystąpi.

Sosnowski.—Do niego można zastósować znajome przysłowie: «Gdyby nie ten bas, tobym........» Na nim polegają chory w operach; głos ma mocny i przyjemny, bas dosyć nizki, ale ruchy niezgrabne przy wysokim wzroście, i jakiś nałog w takt ruszania rękami. Bydź to może, iż się wykrzesa w wyższém towarzystwie, bo już i sam niekiedy miewa nominacyą na hrabiego.

Kiersnowski. — Podobnież jak poprzedzający z różnicą tylko wzrostu, jest aktorem dla głosu. Zawieszamy więc zdanie o nim do czasu, póki na jakieś nie zasłuży.

Gierkowicz, Łożyński, Głębocki, Żyliński. — Z nimi przestajemy dotąd na znajomości afiszowéj: dwaj piérwsi grywają role dosyć znaczące, z równém powodzeniem czyli też żadném; z tą tylko różnicą, że JP. Łożyński nie dawno się na naszym teatrze zjawił i młody, może kiedyś dójśdź do stopnia wyższego; JP. Gierkowicz zaś dawno sił swych probuje, i chyba sam się tylko nie przekonał, że teatr nie dla niego stworzony, albo on nie dla teatru.

Takie jest, według tego, cośmy postrzegali, i z bezstronnego sądu zasłyszeć mogli, zdanie świathéj Publiczności wileńskiéj o składających scenę dramatyczną polską osobach. O postępném ich doskonaleniu się w przy-

szłości, tudzież o zmianach, jakie zajdą w teatrze. Miło nam będzie czytelników naszych uwiadomić.

(*Adam* de Sztrunk *Asses. Izby Kryminalnéj Gub. wileńs.*)

Grammatyka Rossyyska przez Mikołaja Grecza napisana; tłumaczona z rossyyskiego. — Wilno. — Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. — 1838. — in 8vo. str. 216.

Grammatyka Rossyjska P. Mikołaja Grecza, jako dzieło naukowe arcy pożyteczne, znajoma jest uczącym i uczącym się z gruntu prawideł języka rossyjskiego, już od lat wielu: szanowną tę jego pracę w oryginale ocenili wraz po jéj ukazaniu się biegli a bezstronni znawcy; powtarzać przeto należnych jéj pochwał nie widzimy tu potrzeby. O tłumaczeniu to tylko powiémy, że jest dokładne, nieuwłacza w niczém zaletóm oryginału i najsurowsze wymagania, w téj mierze, zaspakaja. A jeżeli to jest prawdą, że książka naukowa czysto, pięknie i poprawnie wydrukowana zachęca bardziéj uczących się do korzystania z wiadomości w niéj zawartych; tedy powiedzieć możemy, nieprzesadzając, że drukarnia P. Zawadzkiego, nic w tym gatunku zachęty do żądania nie zostawiła.

— *Книга для чтенія на французскомъ языкѣ Ф. Гедике, съ краткимъ словаремъ французско-россійско-польскимъ.* (Wypisy fran-

cuzkie przez F. Gedike z dodatkiem słownika francuzko-rossyysko-polskiego). — Wilno. — Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. — 1838. in 8vo. *min.*, textu wypisów str. 131, słownika 123.

Wypisy te, z których kilka już generacyj, uczącéj się po francuzku naszéj młodzieży, płci obojéj, korzystało skutecznie, stosowniéjszémi do trybu obecnego nauczania, zrobiły objaśnienia niektórych wyrażeń francuzkich w języku Rossyjskim, tudzież dodanie do słowniczka dawnego Rossyjskich wyrazów; co właśnie najstósowyiejszą i najwięcéj obiecującą pożytku, dla szkół, pensyj, tudzież prywatnego nauczenia języka francuzkiego, uczyniło z nich, w swoim przedmiocie naukową książkę.

— Kuchmistrz nowy czyli kuchnia udzielna dla osób osłabionych, w wieku podeszłym, tudzież do zdrowia powracających. — W proporcyi na jednę osobę. — Przez Jana Szytlera. — Wilno. — W drukarni dyecezalnej. — 1837. in 8vo. str. 222. Przemowy VI. Nieliczbowanych obejmujących tytuł i dedykacyą 8, regestru 12.

Znajome już są Publiczności dwa dzieła P. *Jana* Szytlera, *Kucharz dobrze usposobiony i Kucharka oszczędna.* Najrzetelniejszą stanowi ich pochwałę, rychłe wyczerpanie dwukrotnych wydań po dwa tysiące exemplarzy. Donosząc, w swoim czasie czytelnikom naszym o tych P. Szytlera pracach

(*Wizerunki i roz. nauk. cz. VII, r. 1835* str. 16, i nast.) mieliśmy sposobność napomknąć, ile pokarm dobrze przysposobiony i urządzony przyzwoicie wpływa na zachowanie i polepszenie zdrowia. Autor nasz przenikniony tą prawdą, całe niniejsze pismo dyecie osób słabowitych i cierpiących na zdrowiu poświęcił. Pożyteczniejby może jeszcze postąpił, gdyby, z poradą biegłych medyków, niezaniedbał wskazać, w jakich mianowicie rodzajach osłabień lub cierpień, ten albo ów gatunek pokarmu służy najprzyzwoiciéj; jak to uczynił P. Walenty Szacfajer, w szacownym przekładzie swoim dzieła doktora Paulizkiego (*), wszelakoż i tak, rownie to, jako i poprzednicze dzieła P. Szytlera wyższém jest nieskończenie od naśladowań jego, które się świéżo ukazywać poczynają.

---

(1) Ob. Medycyna dla ludu wieyskiego i t. d. Wydanie drugie poprawne. T. II, str. 316 i nast.

SPISANIE RZECZY, W TOMIKU DWUDZIESTYM PIÉRWSZYM ZAWARTYCH.

OWE.

wietniejszych
bowaliśmy od
ż się godziło
wieka. Byli-
śli Puszkin
zadość czynił,
owane wyma-

rzebywał, ani
oczesnego, i
tylko Pusz-
o wymaganie
ednéj osoby,
, to powsze-
nowym, bu-
przez opoki
wą potrzebę
ż nie jest do-
zkina? Do
zwracały się
ko o jego je-
się. Śpiewali
ecz któż im
jako chcieli,

i co się im
niema Pus
kojnie śpie
Ruskiéj po
zgoła nas n
polegamy.

Takie m
wał we wsp
do koła: p
Ruskiego n
na. Nasza
Zjawią się
i większi i
dziś żyjący
kina. To
czesnych,

I jakże n
dyśmy prz
w duszy j
smutną był
naszych na
jak nie zap
bie, — po

Byłoby